

ZESZYT PIĘTNASTY I SZESNASTY. ROCZNIK SZÓSTY.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIĄG DALSZY)

W oznaczonej godzinie stawili się spiesznie sąsiedzi, bo w przyjeździe pana Wojciecha z zagranicy widzieli coś nadzwyczajnego. Byli pewni, że pan Wojciech przynajmniej ma dla nich depesze od królowej Wiktoryi albo Ludwika Filipa. Takiemi bowiem rzeczami karmiła się podówczas wyobraźnia biednych mieszkańców.

Pan Wojciech nie miał wprawdzie dla sąsiadów depesz od Guizota ani królowej Wiktoryi, ale miał dłoń szczerą, którą wszystkich bez wyjątku ściskał serdecznie.

Adelaida zaś miała dla wszystkich uśmiech tak roskoszny i tyle pięknych słówek, tak wiele mówiła o potrzebie solidarności, o jedności, o poświęceniu się, że poczciwi sąsiedzi sami nie wiedzieli, kto tutaj jest politykiem, pan Wojciech, czy pani Adelaida? —

Śród takiej rozmowy wszedł Edmund.

Edmund przez te kilka miesięcy na pozór wcale się nie zmienił. Miał tę samą postawę szlachetną, głowę do góry podniesioną, twarz piękną i regularną.

Na pierwszy rzut oka nie widać nawet było, że ten człowiek przebył przed kilkoma miesięcami bolesne rozczarowanie, że teraz przed sobą widzi tę samą kobietę, która mu to rozczarowanie bolesne sprawiła.

Czyż tak mało czuł tę boleść? Czy młodość jego pozwoliła mu bez szwanku znieść ten cios okrutny? Czy siła ustawicznego odradzania się człowieka, czyli jak mówią fizyolodzy: zmiana materyi, wykroiła ten bolesny strzępek serca jego i zastąpiła go świeżym, nie pozostawiwszy nawet żadnego wspomnienia?...

A może serce jego po tym bolesnym ciosie powróciło napowrót tam, gdzie przedtem było, do Olgi?

Trudno, bardzo trudno dowiedzieć się czegoś z tej twarzy. Wprawdzie jest między brwiami jakaś głęboka zmarszczka, której dawniej tam nie było, ale cóż może oznaczać ta zmarszczka?

Edmund przywitał się z kuzynką, ale przywitał się zimno i sztywnie.

Nie była to jednak obojętność, ale było zimno, po za którem mógłby być jakiś żal, jakaś boleść ukryta.

Adelaida domyśliła się tej ostatniej, i silniej niżeli zwykle oddała uścisk ręki, ale serce swe — zamknęła.

Zapewnie i Edmund domyślił się tego, bo się uśmiechnął i z pewną pychą obrażoną wąsiki podkręcił.

Odstąpił od Adelaidy i usiadł przy panu Wojciechu.

Możnaby go teraz było posądzić o mały podstęp.

Usiadł przy panu Wojciechu, aby Adelaida miała porównanie, jakby on wyglądał, gdyby był jej mężem, a jak wygląda pan Wojciech.

Zaiste przyrównanie było fatalne dla pana Wojciecha.

Sąsiedzi, którzy o dawnych marzeniach Edmunda wiedzieli, spostrzegli to niefortunne przyrównanie, i mimowoli spojrzeli po sobie. — Przywołanie Edmunda z dalszego powiatu na to zebranie, wzięli po prostu za przywołanie wspomnienia ze strony pięknej pani Adelaidy.

Ważniejsza jednak sprawa odwróciła ich teraz od podobnych prywatnych spostrzeżeń. Nawet nikt nad tem się nie zastanawiał, że Adelaida od czasu zjawienia się Edmunda była trochę bledsza.

Mimo to mówiła bardzo wiele. Mówiła o nastąpić mającym ruchu i potrzebie wzięcia tego ruchu w ręce wypróbowane i pewne, niżeli miałby być kierowany przez ludzi nikomu nieznanych i nieodpowiedzialnych.

Sąsiedzi nie stawiali takiemu rozumowaniu żadnego zarzutu, tylko Edmund już z natury zajętego dawniej stanowiska oponował temu.

— Jesteś, kochany kuzynie, demokratą pur sang — rzekła do niego z uśmiechem Adelaida.

— Nigdy się tego nie wypierałem i nie wyprę — odpowiedział z dumą potomek dawnych dygnitarzy Rzeczypospolitej.

Adelaida uśmiechnęła się z ironią, ale nie uważała za stosowne na to odpowiedzieć w tej chwili.

Zdaje się, że i sąsiedzi byli tego zdania.

Rozmowa zeszła na poważniejsze tory. Adelaida mówiła bardzo wiele i zawsze kładła nacisk na to, że potrzeba ruchowi pewnych ludzi odpowiedzialnych, którzy z nazwiska i z majątku znani są krajowi.

W takim razie uważała za obowiązek każdego, aby iść z rozpoczętym już ruchem i dać mu pewniejszy kierunek.

Kilka razy podnosiła, że nawet mąż jej nie wyróżniałby się od innych, i jeżli potrzeba zająłby odpowiednie stanowisko.

Edmunda nie dziwiło to wcale. Często widział teraz ludzi, którzy dawniej jak najmocniej sprzeciwiali się ruchowi, łączących się teraz z tym ruchem i to nawet z pewną ostantacyą.

Długo i szeroko rozmawiano, późną dopiero nocą rozjechali się goście, podziwiając talent polityczny pani Adelaidy.

Dom pana Wojciecha stał się przeto wkrótce miejscem licznych zjazdów, na których wiele rozmawiano i wiele na korzyść ruchu pracowano.

Duszą tych wszystkich czynności była Adelaida. Zdawało się wszystkim, że pan Wojciech był tylko wykonawcą jej woli i jej planów.

Zdawało się także, że ona w hierarchyi powiatowej wyrobiła mu nawet pewne wyższe stanowisko, i do tego doprowadziła, że w mającym nastąpić ruchu przyjął nawet pewną czynną rolę.

Adelaida chodziła teraz rozpromieniona, patrzała innem okiem na starego męża, i widziała już naprzód wokoło jego siwej głowy pewną aureolę.

Było to uczucie piękne i szlachetne; chciała tem uczuciem uspokoić swoje sumienie, że nie tylko pieniądze wiążą ją do tego człowieka, bo ten człowiek w jej oczach był już pewnego rodzaju bohaterem..

Taki plan przyszłego swego szczęścia stworzyła sobie Adelaida i już naprzod niem się cieszyła.

Do niego uciekała z marzeniem swojem, jeźli widok Edmunda budził w jej duszy dawniejsze wspomnienia.

Edmund ze swojej strony nie budził niczem tej niedawnej przeszłości, był zimny i sztywny, jakby miał jakąś urazę, ale duma jego nie pozwalała mu tej urazy okazywać.

Tak stały rzeczy, gdy ostatecznie nadszedł czas, w którym miał się przygotowany ruch rozpocząć. Z zapartym w piersiach oddechem czekano dnia, który miał się stać dniem katastrofy.

Rozdział XX.

Gdy Adelaida usilnie się starała, aby mąż pewną czynną rolę w tym ruchu objął, nie wyobrażała sobie nigdy, aby podobna rola mogła być dla niego bardzo niebezpieczną. Wiedziała o tem, że podczas walki giną zazwyczaj prości żołnierze lub niżsi oficerowie, a bardzo rzadko członkowie sztabu.

Pan Wojciech nie potrzebował stać w pierwszych szeregach, jemu nie groziło takie niebezpieczeństwo jak tym, co w tych szeregach stoją. Rola jego odnosiła się więcej do departamentu administracyjnego.

W takim razie nie potrzebowała Adelaida obawiać się o jego życie, a gdyby nawet i ruch cały się nie powiódł, była zawsze sposobność dostania się za granicę, i ujść co najwięcej, więzienia.

Takie wyobrażenie miała Adelaida o tym ruchu. To też wesołą była i uśmiechniętą, gdy nadszedł dzień, w którym miała się z mężem pożegnać.

Cieszyła się, że ten mąż nawet teraz jakoś odmłodniał, że w jej oczach już zakrawał na bohatera, że nawet serce jej na jego widok już nie tak uporczywie milczy, jak dawniej milczało.

Sam pan Wojciech czuł to usposobienie żony. Czuł jej gorące usciski, czuł jej długie pocałunki, widział w tych ciemnych, dużych oczach tyle miłości, tyle uwielbienia!...

Nieprzyjemnie uderzyło Adelaidę, gdy pan Wojciech z jej uścisków powoli się wysunął i zażądał od niej kilku chwil wolnych.

— Wszak już wszystko masz gotowe — rzekła z chmurką na czole Adelaida — czemuż tych kilku chwil nie możesz mnie poświęcić?

— Trzeba Adelo — odpowiedział z uśmiechem pan Wojciech, — trzeba przecież zrobić jeszcze jaki porządek.

— Jakto, czy chcesz jeszcze dyspozycye gospodarskie dawać?

— Nie dyspozycye gospodarskie... ale trzeba rozrządzić jakoś... na wypadek —

Adelaida zbladła.

— Co mówisz! — zawołała — przecież o tem nigdy nie myślałam!

— I ja, moja droga, o tem nie myślałem, ani myślę — odparł z dobrotliwym uśmiechem pan Wojciech — ale zawsze w takim razie trzeba zrobić porządek.

— Zlituj się, nie mów więcej o tem!

— Jestto tylko zwykła formalność.

— Nie chcę tej formalności; zostań ze mną!

Pan Wojciech został, ale mimo to pod pozorem wysłania depesz, oddalił się do swego gabinetu i zrobił, co chciał — napisał testament. Ukrywszy go starannie na dnie szuflady, zamknął biórko i żonie klucze oddał.

Pożegnanie było tkliwe i gorące. Zaniepokojona ostatnią rozmową Adelaida przycisnęła męża z konwulsyjną gwałtownością do siebie, jakby go już po raz ostatni ściskała....

Rozłączenie musiało nastąpić; pan Wojciech odjechał.

Była to druga połowa lutego. Mróz był dwudziestostopniowy. Śnieg skwirczał pod sankami, gdy otulony we futro pan Wojciech odjeżdżał.

Mimo mrozu stała Adelaida na ganku i białą chustką żegnała męża, póki na zakręcie drogi z oczu nie zniknął.

Jakże biło teraz jej serce! Jakże ona kochała go w tej chwili! Co za dziwna trwoga przeszywała jej serce, gdy sobie ostatnie jego słowa przypomniała?...

Była ona teraz kobietą w całem znaczeniu tego słowa! Ona teraz kochała!

Na pół od zimna skostniała zawlokła się do swego pokoju, odprawiła służbę i rzuciła się na klęcznik. Złożyła spazmatycznie ręce, podniosła oczy do wszechmocnego Boga, a jasne jak perły łzy polały się po jej bladej twarzy.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Od tej chwili zdawało się Adelaidzie, że jest zupełnie inną kobietą. Znikł dla niej urok bogactwa, śmieszne wydały się jej teraz laury, zbierane po stolicach Europy; wszystko, na czemkolwiek opierała dawniej szczęście swoje, usunęło się wgłąb i przepadło, a przed nią jako jedyna światła smuga życia został — mąż!

Ten sam człowiek, którego dawniej widziała starym i ułomnym, stał dzisiaj przed nią w całym uroku — kochanka!

Serce jej pukało na myśl, że temu człowiekowi może się stać co złego, zdawało się jej, żeby tego nie przeżyła.

Otworzyła okno i puściła zimny słup mrozu do ocieplonego pokoju, aby oddychać tym samem mroźnem powietrzem, jakiem on w tej chwili oddycha.

Zdawało się jej, że jest teraz zupełnie szczęśliwą, pieściła się tem szczęściem, temi wzruszeniami serca, których dawniej napróżno łaknęła.

Ale to szczęście jej było tak niepewne! Każda chwila zagrażała mu, każdy oddech wzruszonej piersi mógł je pożegnać na zawsze.

Przechodziła w wyobraźni wszelkie możliwe sytuacye. Widziała męża walczącego z tysiącznemi trudnościami, widziała go upadającego śród tych trudności, serce jej ściskało się wtedy z bolu... Widziała go znowu ze zwycięzkim sztandarem w ręku, widziała szlachetną twarz jego, ogniem pałające źrenice... Takiego przyciskała z niedoznanem dotąd uczuciem do piersi, i wpadała w zachwycenie, o jakiem dotąd wyobrażenia nie miała.

Śród takich obrazów i wzruszeń minęła noc.

Gdy dzień nastał, wyszła Adelaida ze swego pokoju blada, z gorączkowym płomieniem w oczach. Twarz jej klasycznie piękna, miała teraz urok szlachetny. Przybył jej jakiś nowy wdzięk, jakiego pierwej nie było.

Stanęła przy wielkiem oknie salonu i spojrzała na śniegiem pokryte pola. Wiatr mroźny sunął się głucho po tych białych wzgórzach, sypał w dolinach piętrowe barykady i ścinał w drzewie ostatnie żywotne soki.

Adelaida stała tak długo i patrzała na ten obraz ponury. Było coś grobowego w tem obrazie, co zapierało oddech w ciepłej piersi, co ścinało lodem oczy patrzące.

Tam na dalekiej drożynie, w białym tumanie śniegu zamajaczyło coś czarnego.

Adelaidzie uderzyło serce w piersiach.. Czy to nie on? — pomyślalała sobie, a twarz jej zaczęła płonąć rumieńcem.

Czarny punkt powiększał się coraz więcej, przybierał powoli wyraźniejsze kształty... Adelaida widziała już konie... sanki... i dwóch mężczyzn...

Konie pędziły galopem... chmura pary unosiła się nad niemi... z nozdrzy wytryskały strumienie wody...

Wreszcie dopadły konie do bramy... zaryły kopytami w śniegu... a jeden z nich powalił się, aby już więcej żywym nie powstać...

Ze sanek zeskoczył mężczyzna otulony w niedźwiedzie, w wysokich butach, przebiegł dziedziniec i wpadł nierozebrany do sali.

Był to Edmund.

— Gdzie mąż? — zapytał głosem ochrypłym.

— Mąż? — odpowiedziała z zadziwieniem Adelaida — mąż odjechał na swoje stanowisko.

Edmund załamał ręce.

— Ruch odwołany! — zawołał.

— Odwołany? — powtórzyła Adelaida i stanęła chwilę jak wryta.

Powoli wracało życie na jej twarz piękną. W tej

chwili była ona tylko kobietą. Niebezpieczeństwo dla męża minęło.

— Odwołany ruch! — powtórzyła nie pojmując jeszcze, co te słowa właściwie znaczą. Cóż teraz będzie?

— Co będzie, nie wiem; ale źle się zaczęło! — odparł Edmund, a pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

— Co się zaczęło? — z niepokojem odpowiedziała Adelaida.

— Mirskiego porębali chłopi kosami na kawałki, gdy im czytał manifest nowego rządu...

Adelaida zmieniła się nagle w statuę z marmuru.

— Na cóż czytał manifest, jeśli ruch odwołany? — zapytała po chwili drżąc cała.

— Odwołanie nie doszło go na czas! — odparł z ciężkim oddechem Edmund.

— Nie doszło na czas!... Dla czegoż chłopi...

— Zwrócili się przeciw nam! Nie pytaj dla czego! Czarne duchy podsyciły jego nieufność ku nam!...

Adelaida załamała ręce.

— Cóż robić? Cóż robić? — zapytała w gorączce.

— Każ mi zaprzęgnąć świeże konie!

— Gdzie chcesz jechać?

Edmund upadł teraz na krzesło jak kawał drzewa. Głowa pochyliła się wtył, pot kroplisty oblał mu czoło — z twarzy znikł nagle wszelki ślad życia.

Adelaida krzyknęła na służbę, sama chwyciła za ręce — ręce Edmunda były zimne jak lód.

Zbiegła się służba. Zdjęto z omdlałego futro, porozcinano szal, obmyto mu skronie zimną wodą.

Twarz Edmunda zapaliła się gorączką. Otworzył usta i ledwo zrozumiale wyszepnął:

— Cztery dni i nocy... nie spałem... w ciągłej podróży...

I znowu zaczął odchodzić od przytomności.

Adelaida kazała go złożyć na sofie, i w tej chwili wysłała konie do najbliższego miasta po lekarza.

Za dwie godziny spienione konie przywiozły lekarza.

Lekarz obejrzał chorego i zadeklarował gorączkę nerwową.

Ustroj nerwowy Edmunda nie mógł wytrzymać takiego naprężenia, jakiego wymagały ostatnie dni przed ostatecznym terminem ruchu.

Przez cztery ostatnie dni i noce rzeczywiście nie zamknął ani oka, a podróż nieustanna śród mrozu i zawiei śniegowych dokonała reszty.

Gdy Adelaida na taki wyrok doktora ręce załamała, odparł tenże z westchnieniem:

— To jeszcze nic, ale co tam się dzieje!

I wskazał ręką na powiat Tarnowski.

Adelaida zbladła jak trup.

— Tam palą i mordują! — dodał nieostrożnie.

Adelaida upadła na krzesło.

Po chwili podniosła się i z wyrazem Judyty na twarzy zawołała na służbę i kazała w tej chwili zaprzęgać.

— Gdzież pani pojedziesz? — zapytał lekarz zaniepokojony takim wyrazem.

— Do męża! — odpowiedziała Adelaida i wypadła ze sali do swego budoaru.

Za pół godziny wyszła ubrana we futro, rozkazała służbie, aby o chorym mieć jak największe staranie, zmusiła lekarza, że obiecał pozostać przy chorym aż do jej powrotu — i odjechała.

Podróż Adelaidy była bardzo smutna.

Wiatr toczył przed nią tumany śniegu, jakby zwijał olbrzymie prześcieradła grobowe dla pomordowanych! Wierzchołki sosen jęczały jak płaczki pogrzebowe, śnieg zgrzytał pod kopytami koni, które niegdyś podziwiała miejska, swobodna publiczność.

Wkoło głowy Adelaidy unosiły się, jak stada czarnych kruków, czarne myśli i mroziły jej serce już i tak zimnem wiatru na lód ścięte.

Bez wytchnienia pędziły angielskie konie aż do zmroku. W prostej karczmie na rozdrożu dano im trochę wytchnąć. Dla ogrzania się weszła Adelaida do izby szynkownej.

W izbie szynkownej siedzieli chłopi grupami przy stole. Między nimi był najwymowniejszym młody, prosty chłop z krótko strzyżonemi włosami. Był to widocznie dawny wojskowy. Przy nim siedziała jakaś niepokaźna figurka w czapeczce urzędowej, paląca tytoń z fajki porcelanowej, na której było napisane jakieś nazwisko niemieckie.

Gdy Adelaida we futrze sobolowem weszła do szynkowni, wszystkich oczy zwróciły się na nią. Niepokaźny człowieczek szepnął coś urlopnikowi do ucha. Za chwilę szły szepty od jednego ucha do drugiego.

Powoli zaczęli chłopi pojedyńczo wynosić się z karczmy. Coś było w ich twarzach, co niepokoiło Adelaidę. Wychodzili cicho, na palcach, jakby się skradali do czegoś...

Po niejakim czasie wyszedł i mały człowieczek z fajką porcelanową, a cała izba wypróżniła się.

Żydówka zbliżyła się powoli do Adelaidy.

— Niech pani ztąd wyjedzie, — szepnęła do niej niby poprawiając w piecu.

Adelaida usłyszała teraz skrzyp butów po za oknami karczmy. Wyszła szybko do sieni. Konie stały gotowe, bo stangret coś także zmiarkował.

— Wrócimy się kawałek — szepnęła Adelaida stangretowi.

Stangret zrozumiał te słowa, skręcił na miejscu i wypadł z karczmy.

Gdy sanki były już na drodze, rozległ się za niemi krzyk okropny i przeszywający, a gdy Adelaida się obejrzała, obaczyła czarną chmurę pędzących za sankami chłopów z wrzaskiem przeraźliwym. Zasadzka nie udała im się

Spory czas sunęła się ta czarna chmura za nimi. Od czasu do czasu zalatywał do nich jakby szum orkanu, jakby szum wylewającej się wody.

Wreście ustał — konie biegły lepiej od ludzi.

Adelaida kazała skręcić na boczną drogę, aby napowrót zdążyć do dawnego kierunku drogi.

Droga prowadziła teraz między lasami. Nigdzie nie było ani wsi ani dworu. Biała przestrzeń rozciągała się od lasu do lasu, jak duży kawał kamienia.

Teraz zaczynała droga iść do góry. Im więcej się sanki wznosiły, tem jaśniej było widać jakieś świetlane smugi po nad lasami.

Adelaida spojrzała na te smugi, równocześnie spojrzał na nie i stangret.

— Czy to księżyc wschodzi? — zapytała Adelaida.

— To by było dwa księżyce — odparł stangret pokazując ręką na las przeciwległy.

Teraz stanęły sanki na najwyższym szczycie drogi. Ale cóż za widok odsłonił się przed oczami Adelaidy?

Na widnokręgu prawie w półkole świeciły pożary...

I zdawało się Adelaidzie, że słyszy jakieś przytłumione głosy piekielne, które zwolna to cichły, to się wznosiły, jakby pochodziły tam z drogi leśnej... Zdawało się także stangretowi, że pomiędzy drzewa widzi w oddali jakieś światła migające...

Głosy piekielne cichnęły co raz więcej, światła zagasały, i wszystko w grobową ciszę i ciemność zapadło.

— Czy co widziałeś? — zapytała Adelaida stangreta.

— Ktoby tam patrzył na takie rzeczy — odpowiedział stangret — jeźli je zły duch na omamienie podróżnych wyprawia!

Przeżegnał się i zaciął konie.

Za pół godziny skręciła się nagle droga do lasu.

— Źle jedziemy! — zawołała Adelaida.

— Cóż robić? — zapytał stangret wstrzymując konie.

— Trzeba przeczytać napis na słupie; masz zapałki?

Stangret dał lejce służącemu, a sam poszedł do słupa, który rozkrzyżowany stał na rozdrożu.

— Czy nie możesz zapalić? — zapytała niecierpliwie Adelaida patrząc na ciemne smugi drogi.

— Wiatr nie da zapalić!

— Masz tę chustkę, zapal ją.

I rzuciła mu białą batystową chustkę.

Stangret zapalił chustkę. Francuzki batyst zajął się jasnym płomieniem.

— Co to ciemnego na drodze? — zapytała Adelaida.

— To krew! — odpowiedział stangret i cofnął się.

— Krew? — powtórzyła Adelaida bez dźwięku — czy krew świeża?

— Zdaje się, że świeża — odpowiedział żegnając się stangret.

Adelaidę ścisnęło coś za krtań; nie mogła nic dalej mówić.

— Gdzie jechać? — zapytał po chwili stangret.

— Jedź gdzie chcesz! — odpowiedziała.

Stangret skręcił na prawo i zaciął konie.

Rozdział XXI.

Pół roku minęło.

Na mogiłach pomordowanych i poległych porosła trawa. Zakwitnęły kwiatki i rozgościły się muszki złotoskrzydlne.

Cicho i spokojnie spali tam przykryci trawą i polnemi kwiatkami, i we śnie słuchali brzęku muszek złotych i świegotu ptasząt, siadających tutaj dla odpoczynku.

Nie tylko pola naznaczył ten rok pamiętny mogiłami, widać było i na ulicach miast czarne jego znaki.

Tu i owdzie przemykała się blada kobieta w grubej żałobie, prowadząc za sobą małe sieroty. Często także w takiej samej sukni kobietę powiozła kareta szczelnie zamknięta, a przechodzący ustępowali się z uszanowaniem i w milczeniu.

Właśnie taka, jak ją żebraczki krakowskie nazywały, „czarna pani“ przejechała przez ulicę floryańską w zamkniętej karecie. Żebraczki pospieszyły za nią, i pospieszyły nie napróżno, bo czarna pani wysiadając z karety obdarzyła je jak zwykle hojną jałmużną.

Czarna pani zaś wolnym krokiem wyszła po schodach na pierwsze piątro i weszła do drzwi, które służąca w milczeniu otworzyła.

Pokoje, przez które ta czarna pani przechodziła, były pięknie urządzone, ale miały smutną atmosferę. Firanki ciemnego koloru przysłaniały wysokie okna do połowy, a reszta przyćmiona była napół przeźroczystą białą tkaniną.

Zdaje się, że mieszkanka tych pokoi chciała jak najmniej przypuścić do siebie tego światła bożego, którego każde życie tak pragnie. Jej było go za wiele.

Minąwszy kilka pokoi weszła do ostatniego, który więcej podobny był do ciemnicy, niżeli do mieszkania ludzkiego.

Tam rozebrawszy się, odprawiła służącą i stanęła przed wielkim obrazem, który przedstawiał mężczyznę już w niemłodym wieku.

Była to Adelaida.

Była blada, na twarzy wycisnął się ślad wielkiego cierpienia, oczy trochę zagłębiły się, ale mimo to była cudownie piękna, była urocza. Nawet to cierpienie dodało jej wiele uroku, ta zmarszczka na tem wyniosłem czole miała w sobie coś niepojętego, co przyciągało do tej kobiety.

Adelaida zwróciła się właśnie do stolika, na którym leżała książka otwarta, gdy w przedpokoju ozwał się dzwonek. Służąca podała jej kartę wizytową.

Twarz Adalaidy rozpromieniła się. Szybko wyszła do salonu.

W salonie czekała już matrona w podeszłym wieku. Miała twarz wyżółkłą i pomarszczoną, oczy jednak były czarne i bystre.

— Ciociu! ciociu! — krzyknęła Adelaida i rzuciła się na szyję sędziwej matronie.

Sędziwa matrona była rzeczywiście jej krewna, stryjeczna siostra jej matki i matki Edmunda.

Panna Flora, jak powszechnie w familii nazywano staruszkę, mieszkała od lat kilkunastu za granicą.

Adelaida widziała ją tylko raz w życiu, gdy była jeszcze bardzo młodą panienką. Ucieszyła się więc szczerze, posadziła ciotkę na kanapie, ściskała ją i całowała.

Była to od pół roku pierwsza istota, którą Adelaida w domu swoim przyjmowała. Dotąd były jej drzwi zawsze zamknięte, jakby w zakonie.

Po niejakim czasie, po różnych pytaniach bez odpowiedzi i odpowiedziach bez pytania, ozwała się panna Flora:

— Droga Adelo, powiedzże mi co o sobie! Więc od pół roku jesteś już wdową...

— Pół roku! — odpowiedziała spokojnie Adelaida.

— Jakże to się stało z nieboszczykiem?

— Tak samo, jak z wszystkimi innymi, tylko z tą różnicą, że nie był ani kosą, ani siekierą zabity.

— Umarł w więzieniu!

— Gdy go w podróży pochwycono, związano go i trzymano na śniegu przy mrozie dwudziestostopniowym.

— Barbarzyńcy!

— Kto taki? — machinalnie zapytała Adelaida.

— Chłopi! — odpowiedziała szybko panna Flora.

Adelaida uśmiechnęła się boleśnie.

— Tak związanego — mówiła dalej — trzymano w śniegu noc całą, potem skośniałego odstawiono do więzienia.

— W więzieniu umarł!

— Gdym zdążały po różnych przygodach do miasta powiatowego, był Wojciech już niebezpiecznie chory, miał silne zapalenie płuc... Za kilka dni byłam wdową!

— Okropnie!

— To, czegom sama doznała, było okropne; ale to, co w mej podróży widziałam, było — nie do opisania!

Adelaida spojrzała z trwogą wkoło siebie i podniosła rękę do góry, jakby odpędzała od siebie jakie widmo czarne.

Głuche milczenie panowało czas niejaki. Panna Flora nic nie mówiła, tylko od czasu do czasu ukradkiem na Adelaidę patrzała.

Po niejakim czasie wzięła ją za rękę i rzekła:

— Bóg zsyła nam wielkie cierpienia, ale nie każe nam upadać pod niemi.

— Proszę go codziennie o łaskę, abym mogła znieść los mój smutny. Osobliwie dzisiaj, gdy i ojciec mój opuścił....

— Poczciwy pan Albert! Nie było lepszego człowieka na świecie. Cóż zrobił ze swemi obrazami? Słyszałam, że miał trzy Rubensy, dwa Rafaele i pięciu....

— Łudził się biedny aż do śmierci, ale gdy licho przyniosło w nasze góry jakiegoś artystę, i ten wprost autentyczności jego obrazom zaprzeczył, biedny ojciec zmartwił się, i serce mu pękło!

— Przywiązał się do myśli.... Ale właśnie dzisiaj, gdy jesteś podwójną sierotą, nie powinnaś prośbami twemi ustawicznie Boga tentować, ale powinnaś sama w sobie szukać ratunku i podniesienia się z dzisiejszej niemocy.

— Robię, co mogę, i Bóg jakoś pozwala mi znosiś moję boleść.

— Ale powiadam, że nie trzeba wszystkiego na Pana Boga zdawać. Trzeba i samemu sobie jakoś dopomódz.

— Czynię ludziom dobrze, o ile oni mojej pomocy potrzebują.

— To wszystko za mało. Trzeba coś zrobić, aby dawną boleść przekoić mogło.

— Nie wiem, co!

— Bóg daje człowiekowi życie i żąda potem rachunku od niego, co w tem życiu zrobił.

— Na cóż moje życie jeszcze przydać się może?

— Gdy drogę żywota w połowie się przetnie, to nie trzeba siadać na końcu przeciętej drogi, ale szukać nowej, i iść nią ku chwale Boga dalej.

— Nie widzę przed sobą żadnej nowej drogi.

— Jeżeli jaki konar drzewa uschnie, trzeba go odrzucić, bliznę zagoić, aby drzewo drugą połową dalej żyło.

— Przyrówań tych nie rozumiém.

— Straciłaś męża, przebolałaś, jak Bóg przykazał, zgon jego przykładnie, trzeba więc ten ból zakończyć i nowe drugie życie rozpocząć.

— Wszystko jest mi ciemne.

— Bóg nie żąda od nas ustawicznego bolu aż do śmierci, ale żąda życia i uczynków.

— Wskaż mi ciociu to życie i te uczynki!

— Wróć pamięcią do ubiegłych lat twoich, a znajdziesz tam źródło nowego życia.

— Nie mogę znaleźć tego źródła.

— Masz przecież wspomnienia węzłów rodzinnych, które ci niejednę słodką chwilę życia sprawiły.

— Przechowywam je z uszanowaniem w mojej pamięci.

— Wydobądź je z tej pamięci i wskrześ napowrót do życia.

— Nie wiem, o których wspomnieniach ciotka mówisz!

— Jesteś jeszcze kobietą młodą, pełną życia.

Adelaida smutno westchnęła.

— Masz dostatki i pozycyą!

— Do czegoż to wszystko dąży?

— Możesz być szczęśliwą i uszczęśliwić drugiego.

Adelaida patrzała na mówiącą z uwagą.

— A nawet możesz spełnić jeden z najpiękniejszych obowiązków swoich — mówiła dalej panna Flora — obowiązek względem familii.

— Familii? — zapytała z ciekawością Adelaida.

— Tak jest familii, która potrzebuje teraz więcej, niżeli kiedykolwiek podpory materyalnej.

— O kimże z familii ciocia myśli?

— W Paryżu widziałam się.... z Edmundem.

Szkarłatny rumieniec oblał twarz Adelaidy.

— Edmund zapewnie będzie mógł powrócić w tych dniach, sprawa jego stoi dosyć dobrze.

Adelaida zbladła i znowu zarumieniła się.

Wstała, odeszła powoli do swego budoaru, a powąchawszy kilka flakoników z silną wonią, wróciła znowu do sali.

— Niech mi ciocia co powie o księżnej Kunegundzie — rzekła do panny Flory i oczy spuściła na końce swoich bucików, które z pod czarnego kaszmiru wychyliły się ciekawie.

Panna Flora spojrzała także na te małe buciki i uśmiechnęła się nieznacznie.

Rozdział XXII.

Po tej rozmowie z panną Florą chodziła Adelaida długo zamyślona po pokoju. Często stawała, jakby przed sobą co widziała, co ją trwożyło, lub co jej roskosz sprawiało. Na przemian marszczyła brwi i uśmiechała się, a nawet kilka razy spojrzała z ukosa do swego zwierciadła, które ją jakoś dzisiaj prześladowało.

Takie promenady po pokojach powtarzały się odtąd bardzo często. Powtarzało się w nich zawsze jedno i to samo, to jest: marszczenie czoła, uśmiech roskoszny i ukośne spojrzenie do zwierciadła.

Panna Flora bawiła w mieście, i potrzeba było dla jej towarzystwa wyjść gdzieś więcej między ludzi.

Zaledwie Adelaida między ludźmi się ukazała, otoczyła ją natychmiast jakaś dziwna duszna atmosfera.

Cóż było w tej atmosferze, co ją dusiło?

Ludzie jakoś dziwnie na nią patrzali, coś pokazywali palcami i uśmiechali się, a uśmiechali się gorzej jeszcze, niżeli to było ongi.

Adelaida nie mogła tego pojąć.

Przeciwnie, w samotności swojej urobiła sobie jakieś inne wyobrażenie o tej publiczności, dla której poświęciła męża i całe szczęście swoje. Myślała, że jako żona człowieka, na którego pogrzebie tylu ludzi było, znajdzie wszędzie uszanowanie, jakie się jej należało.

Tymczasem jakieś złośliwe, szyderskie spojrzenia prowadzą ją za każdym krokiem.... widzi, że ludzie zoczywszy ją, coś sobie do ucha podają, uśmiechają się, z litością patrzą na nią, jak na jaką nędzną istotę.

Cóż to jest, co się dzieje wkoło niej?

Ona nic nie wie, ale czuje przez skórę, że coś zatruwa jej atmosferę, coś pozbawia ją tchu, rozdziera jej serce.

Daremnie ogląda się wkoło, czy nie wyczyta czego ze spojrzeń ludzkich, szuka na twarzach czytelnego pisma, łowi uchem pojedyncze słowa — ale nic z tego wszystkiego złożyć nie może.

Ale coś strasznego wkoło niej się dzieje. Daremnie szuka, daremnie błaga oczyma — nikt nic nie mówi.

Wreszcie pewnego dnia przybywa do niej w szarym szalu już nie młoda kobieta z długim woreczkiem na ręce. Adelaida poznała w niej jednę z gorliwych kobiet, wybierających składki dla biednych.

Powitawszy ją, udała się natychmiast do biórka.

— Zaczekaj pani — ozwała się zacna kobieta — przódy pomówimy kilka słów z sobą.... Czy nie ma nikogo?

Adelaida z trwogą obejrzała się wkoło.

— Nie ma — odpowiedziała — czy pani masz jaki ważny interes?

— Nie przychodzę w moim interesie; mego interesu nie znam, znam tylko interes biednych — odpowiedziała z ascetycznym wyrazem na twarzy szara kobieta.

— Jeżeli tylko interes biednych!

— Interes biednych jest tak ściśle połączony z interesem pani, że chcąc trafić do biednych, muszę zacząć od pani.

— Odemnie? Nie rozumiem!

— Człowiek, który do sumienia swego zagląda, powinien zawsze wiedzieć, co jest przy nim i co go otacza.

— Chciej pani być zrozumialszą.

— Sama pani zrozumiesz, jak przyjdzie pora; pierwej musi kwiat opaść, a potem zawiązuje się owoc...

Adelaida spojrzała z zadziwieniem na mówiącą.

— Kwiat piękny — mówiła dalej szara kobieta — przedstawia nieraz grzech, a owoc, który z tego kwiatu wynika, to są dobre uczynki dla biednych! W świecie bowiem ludzkim jest ten system ekonomiczny, że z każdego grzechu bogatych ludzi wynika dobry owoc dla biednych. Gdyby bogaci, o których wiadomo, że tylko z trudnością dostają się do królestwa niebieskiego, nie popełniali grzechów i potem za nie się nie opłacali, toby majątki ich były bez korzyści dla społeczeństwa!

Adelaida nie mogła powstrzymać uśmiechu nad tak dziwną filozofią szarej kobiety.

— Czy chcesz mi pani jaki grzech wyjaśnić, czy dopiero w świątobliwych zamiarach nakłonić mnie do tego grzechu?

Szara kobieta zmarszczyła brwi.

— Każdy człowiek jest pełen grzechów, jak worek Jeremiasza był pełen popiołu.

— Nie wiem, dla czego pani ostatniego proroka Syonu miesza do naszej rozmowy.

— Bo on nawoływał do pokuty!

— Czyż i pani w jego imieniu do mnie przychodzi?

— W imieniu Boga każdy dobrze czynić może. Przychodzę, aby pani oszczędzić wyrzutów sumienia!

— Wyrzutów sumienia?

— Możesz pani je odżegnać — hojną jałmużną!

— Moje sumienie nic mi nie mówi!

— Pycha i zakamieniałość tłumi głos jego.

— Nie umiem sobie słów pani wytłumaczyć.

— Wejdź w siebie, a zrozumiesz mię: ile dasz dla biednych, dla biednych, którzy łakną i pragną!

— O biednych poźniej, ale pierwej...

— Chcesz pierwej porachować się z sumieniem? Dobrze. Masz odwagę znieść wszystko?... Było to przed rokiem, serce twoje było zajęte pewnym młodym człowiekiem...

Adelaida zbladła i zarumieniła się.

— Nie byłoto ani grzechem, ani występkiem, nie masz się pani czego rumienić.... Poźniej dopiero zapragnęłaś bogactwa.... poświęciłaś młodego człowieka....

— Nie pojmuję, jak pani możesz w ten sposób przemawiać do mnie. Z postępków moich winnam sobie sama zdać sprawę....

— Niech pani nie odpycha ręki miłosierdzia bożego. Wybrałaś sobie męża starego, bogatego....

Adelaida powstała z dumą.

— Tego męża pozbyłaś się.... aby wrócić do młodego człowieka z bogactwem nabytem....

Bolesny kurcz przeszedł całą postać Adelaidy. Zachwiała się, jakby się przełamać miała. Usta jej posiniały, zadrżały, ale słowa nie mogła wymówić.

Stała martwa jak statua z kamienia z szeroko otworzonemi oczyma.

— Daj jałmużnę, daj hojną jałmużnę — mówiła dalej z ponurem wejrzeniem szara kobieta — daj część majątku twego dla biednych, a Bóg ulituje się nad tobą i uspokoi sumienie twoje.

— Co mówisz kobieto! — krzyknęła nagle Adelaida całym głosem, w którym drżały wszystkie siły duszy — co mówisz! Rozdzierasz mi serce!

— Ono uspokoi się; daj jałmużnę, daj hojnie.

— To fałsz wszystko, o czem mówisz!

— Mówi to głos publiczny.

— Głos publiczny! — zawołała Adelaida i chwyciła ręką za czoło — głos publiczny!.... Oh jak to boli.... jak zabija ten głos publiczny!

— Daj jałmużnę, a Bóg uratuje cię.

— Ten niesprawiedliwy głos publiczny!

W tej chwili przebiegła jej przez głowę podobna sytuacya — Olgi! Wzdrygnęła się, zadrżała cała i spojrzała przed siebie wzrokiem obłąkanym.

— Mój Boże! — wyjękła — i za to mnie karzesz!

— Daj jałmużnę, wiele daj i hojnie.

Adelaida podniosła głowę do góry, usiłowała przybrać spokojny wyraz twarzy.

— To wszystko fałsz i nieprawda — rzekła do szarej pani — będę umiała walczyć z tym bezlitośnym głosem publicznym, gdybym nawet miała mu życie moje rzucić na ofiarę.

W tej chwili weszła służąca i zapowiedziała pannę Florę. Szara pani wzięła szybko woreczek na rękę i cofnęła się od Adelaidy.

— Będę pani poźniej służyć — rzekła odmiennym głosem i ukłoniła się.

Weszła panna Flora.

— Wiesz Adelo, pocieszna wiadomość: Edmund za kilka dni przyjedzie... przyjedzie... Czegoż tak smutno stoisz, ty moje niedobre dziecię?

Adelaida stała milcząca i nieruchoma jak statua z kamienia. Była blada jak ściana, zimna jak bryła lodu.

— Jutro pojadę na wieś — wyrzekła po chwili jak automat — mam pilne interesa.

Rozdział XXIII.

Po mieście rzeczywiście obiegały takie wieści, z których fanatyczna przyjaciółka ubogich chciała skorzystać. Już dawniej mówiono także o tem, że Adelaida naumyślnie męża swego wysłała na niebezpieczeństwo; ale wieści te nie miały znikąd podpory, bo Adelaida od świata się odłączyła, i nikt o jej powtórnem zamążpójściu nie mógł mówić. Wieści więc ucichły i przepadły, jak wiatr luźny na pustem polu.

Przybycie panny Flory odświeżyło te wieści.

Panna Flora była tak pewną, że Adelaida jej propozycyą względem Edmunda dobrze przyjęła, iż nie mogła się powstrzymać, aby swoim znajomym nie udzielić tego najnowszego sekretu.

Wkrótce więc gruchnęła wieść pomiędzy znudzone salony miejskie o bliskim ślubie Adelaidy z Edmundem, a że to była właśnie *saison morte*, w której tak trudno było o jakie takie wiadomości, przyjęto więc nowinę o Adelaidzie z zapałem, i zaczęto ją obyczajem niezbyt chrześciańskim nicować na wszystkie strony.

W ludziach jest tyle zarodu złego!

Adelaida miała wiele przyjaciol, którzy z jej dostatków dzisiejszych korzystali. Dzisiaj okazało się, że to byli tylko ukryci nieprzyjaciele.

Już samo odosobnienie poczytano jej za złe. Smutek po stracie męża wzięto za komedyą. Z oburzeniem opo-

wiadano o samotnem życiu rozpaczającej wdowy, i nie było nikogo, ktoby uwierzył w jej szczery smutek.

Już było takie niekorzystne dla niej usposobienie, gdy panna Flora rozniosła wiadomość o jej powtórnem zamążpójściu.

Nic bardziej nie budzi złych stron serc ludzkich, jak zbliżanie się jakiej młodej pary do ślubu.

Przyjaciel i nieprzyjaciel rzuca się wtedy na biedne ofiary, i jeden drugiego przesadza w wyszukiwaniu czarnych stron tego jasnego obrazu. Jeden bierze pannę pod nóż krytyczny, drugi obija boki biednemu narzeczonemu, że się poważył zostać — szczęśliwym.

— To spryt nie lada — chichotała panna Prozerpina o czterdziestu krzyżykach — aby starego męża zamienić na dawnego kochanka!... Nie zazdroszczę jej.

— Bądź co bądź — mówiła pani Babetta z małym noskiem — jest energia i odwaga w tej kobiecie. Nie każda z nas odważyłaby się na coś podobnego.

— I zaręczam wam, że towarzystwo nawet ją przyjmować będzie! — skarżyła się inna.

— Co mówisz! Sprawa podobna należy pod paragrafy kodeksu karnego.

— Dla tego zamknęła się przed nami, bo jej sumienie spokoju nie daje.

— Czy to prawda, że u OO. Dominikanów zamówiła tysiąc mszy świętych za spokój nieboszczyka?

— Bo codziennie we śnie przychodzi do niej upiorem!

— Upiorem! W imię Ojca i Syna...

— Szkoda kobiety! Taka ładna, młoda!

— Sama sobie winna.

— Trzeba ją kiedy odwiedzieć.

— Może jutro wybierzemy się tam na herbatkę. Dowiemy się na miejscu czegoś więcej.

I przyjaciółki Adelaidy byłyby niazawodnie piły u niej nazajutrz smaczną herbatę i byłyby ją ściskały i całowały co niemiara, gdyby Adelaida nie była na wieś wyjechała.

— Wszystko prawda, o czem mówiłyśmy — wyjechała! — mówiły nazajutrz do siebie.

— Przecież nikt o tym skandalu nie powątpiewał — wyjechała!

— Nie może dłużej znieść wstydu — wyjechała!

— Sumienie każe jej unikać znajomych — wyjechała!

— Przed upiorem chce uciekać — wyjechała!

Słowem, wszystko prawda co do joty, bo Adelaida — wyjechała!

Adelaida istotnie wyjechała, bo do wyjazdu miała rzeczywiste powody.

Wieści, rozchodzące się o niej po całem mieście, uderzyły na nią tak nagle i niespodziewanie, że nie mogła po takich ciosach ani prędko przyjść do siebie, ani wiedzieć, co dalej ma począć.

Myśl o Edmundzie, po częstych rozmowach z panną Florą, przychodziła jej czasem do głowy, i nie widziała w tem żadnej zbrodni, jeżeli po przebytej boleści chciała rozpocząć życie nowe, życie drugie.

Wspomnienia dawne i stosunki dzisiejsze podsycały tę myśl i wysuwały ją często z głębi duszy.

Nim jednak ta myśl dojrzeć mogła, uderzył ją grom rozchodzących się o niej wieści i mało co nie zabił.

Adelaida w pierwszej chwili nie wiedziała, co począć. Czy ma iść przebojem i nie zważać na to, co ludzi o niej mówią, czy ukorzyć się i w piersi uderzyć wyznając, że zawiniła.

Na to potrzebowała spokoju i skupienia, i po to wyjechała na wieś, aby Edmund nie zastał jej wtedy, kiedy jeszcze nie wiedziała, co postanowić.

Ale na wsi czekały ją gorsze zmartwienia.

Służba dworska i ludzie na wsi, nie mając jej śród siebie, mówili często o niej. Wiedzieli, że wyjechała do miasta, i że tam żyje zamknięta jak pokutnica.

Każdy wypowiadał zdanie swoje o tem, co zaszło, i wszyscy w tem się zgodzili, że Adelaida męża naumyślnie wyprawiła na niebezpieczeństwo, a Edmunda w pałacu zatrzymała.

Przypomniano sobie i pozbierano różne szczegóły co do wyjazdu nieboszczyka a przybycia Edmunda, poukładano te szczegóły tak, jak potrzeba było, i zrobiono z tego bardzo smutną ale prawdziwą historyą.

Gdy Adelaida blada i wyżółkła na wsi się zjawiła, patrzano na nią z ciekawością, i szukano na tej twarzy śladów pokuty.

Adelaida spostrzegła zaraz w pierwszym dniu, że i tutaj otacza ją ta sama atmosfera, przed którą z miasta uciekła. Widziała jasno, że ludzie patrzą na nią ze strachem, patrzą jakby na jakiego złoczyńcę.

Rzuciła się na kozetkę w swoim pokoju i zalała się gorzkiemi łzami. Nie spostrzegła, że do niej zbliżyła się staruszka, która dawniej u nieboszczyka była szafarką.

— Czy chcesz czego? — zapytała z jakimś niepokojem.

— Niech się jejmość nie gniewa — odpowiedziała staruszka, pokornie się kłaniając. — Jabym jejmości coś powiedziała.

— Cóż takiego, mów!

— Widzi jejmość dobrodziejka — mówiła staruszka — jeżeli człowiek jest stary, to już i spać nie może, tylko ot tak leży sobie, a wtedy różne rzeczy przychodzą przed oczy, tak jakby się wszystko śniło.

— Czy ci się co śniło?

— Śniło nie śniło, bo jakże powiedzieć, że to sen, kiedy ja tak, jak naprzykład teraz jejmość, widziałam na własne oczy...

— Kogoż widziałaś?

— Nieboszczyka pana!... Widziałam jak szedł, szedł prosto tą ścieżką w ogrodzie poza agrestem, aż tam het, gdzie jest to wzgórze z kasztanem. Tam stanął, spojrzał na mnie i szeroko zakreślił ręką wielkie koło przed sobą i po za sobą.

— I cóż to koło znaczyło?

— Mówiłam o tem staremu Grzegorzowi, a on powiedział, że nieboszczyk chce, aby tam kościół postawić.

— Na cóż dwa kościoły w jednej wsi?

— Już ja tam nie wiem, proszę jejmości, ale Grzegorz stary mówił, że ludzie często kościoły stawiają, aby Boga przebłagać za grzechy swoje. A Bóg jest miłosierny...

Adelaida zaledwie mogła powstrzymać łzy. Owa historya z kościołem cóż było innego, jeżeli nie to samo, co ją z miasta wypędziło?

Kazała odejść staruszce i zamknęła drzwi za sobą, aby już nikt więcej do niej nie przyszedł.

Wyprostowała się na kozetce, oparła ręką głowę i zaczęła myśleć nad swoją dzisiejszą sytuacyą.

Była ona smutna i prawie bez wyjścia. Posądzano ją niesprawiedliwie, ale wiele pozorów było, które za prawdą przemawiały. Cóż ma począć w takim razie?

Czyż podobna, aby w takim razie myśleć o Edmundzie? Czyż to nie byłoby zatwierdzieniem tego, co ludzie mówili?

Nie, tego nie mogła już uczynić. Miała wyobrażenie, że ludzie jej urodzenia powinni stać na przedzie. Czyż mogłaby znieść opinią, która ją stawia na ostatniem miejscu, tam, gdzie stają ludzie najgorsi?

Nie, tak postąpić nie mogła.

Przypomniała sobie, że podobnież prześladował i Olgę taki głos publiczny...

Przy tej myśli zatrzymała się chwilę.

Czyż to nie z jej winy cierpiała wtedy Olga? — przyszło jej nagle do głowy.

Twarz Adelaidy rozjaśniła się.

Czy znalazła jaki sposób expiacyi swojej winy i zwalczenia nieprzyjaźnej opinii publicznej?

Adelaida wstała szybko i zaczęła w biórku szukać ostatniego listu Olgi...

Potem zadzwoniła, a gdy wszedł służący, rozkazała, aby na jutro były konie gotowe do dłuższej podróży.

Rozdział XXII.

W pierwszych dniach września po przebytej słocie zajaśniały góry Beskidu całym blaskiem malowniczego jesiennego kolorytu.

Burski wracał właśnie z miasteczka. Drożyna pięła się do góry, robiąc liczne zakręty. Prosto pomiędzy las prowadziła ścieżka.

Burski siedział na wózku i pogwizdywał sobie, jak człowiek, który o czemś przyjemnem marzy. Twarz jego rumieniła się, oczy błyszczały żywem światłem.

Nie był to dzisiaj ów Burski pochylony, stojący z głową odkrytą w przedpokoju pałacu. Znać było już po minie i cholewach, że to pan sobie. Nawet intelligencyi przybyło mu na twarzy czerstwej, rumianej.

Gdy wózek dotarł do ścieżki, Burski, aby ulżyć koniom, zeskoczył na ziemię i piechotą puścił się przez las.

Być może, że miał nawet inne powody do tej samotnej przechadzki. Skoro bowiem obaczył, że już jest w lesie, i że woźnica go nie widzi, najprzód rozśmiał się śmiechem głośnym i serdecznym, aż liście na drzewach jakby od huraganu zadrżały, potem uderzył się ręką po kolanie, jakby z pistoletu strzelił, i zaczął coś dosyć głośno mówić do siebie.

Monolog ten trwał przez całą ścieżkę, tylko czasami przerywał go gwizdaniem mazurka, który zazwyczaj po kilku taktach przechodził mimo jego wiedzy w jaką pieśń kościelną.

Wreszcie zawidniał mu przed oczyma biały dworek.

Na widok dworku znowu rozśmiał się tubalnym głosem, i znowu dłonią w kolano uderzył.

— Moja biała gołąbka o niczem nie wie! — rzekł do siebie ujrzawszy w ogródku białą postać kobiety.

Jakby przeczuciem wiedziona, przybiegła biała postać w tej chwili na sam kraniec lasu, gdzie właśnie kończyła się ścieżka.

— Czemuż ojczątko dzisiaj tak długo bawił w mieście? — zapytała Olga powracającego Burskiego.

— Czemu bawiłem tak długo? — powtórzył z jakimś zagadkowym ruchem wąsów — ot interesa, interesa. moje dziecię. Sprzedałem korzystnie kawałek lasu, ostatnia rata, w Bogu nadzieja, wypłaci się na św. Michała... Ale moje dziecię, powiedz mi, czy nie miałaś tu czkawki?

— Czkawki?... Dla czego ojcze o to pytasz?

— Bo mówiliśmy wiele o tobie.

Olga zarumieniła się.

— Zapewne znowu pan Kazimierz...

— Nie, nie, moje dziecię, coś lepszego, coś lepszego!

Olgi twarz oblekła się smutkiem.

— Pójdź ojcze, czekam cię z podwieczorkiem.

— Kawy pić nie będę — odparł Burski posuwając ręką po twarzy. — Wypiłem kilka lampek wina! — dodał po chwili patrząc z ukosa na córkę.

Olga nie zważała na to. W milczeniu szli oboje ku dworkowi.

Na twarzy Olgi nie było wielkiej zmiany od tego czasu. Zawsze piękna, pełna wdzięku, rozsyłała wokoło światło i ciepło jak promienie słońca. Tylko na czole zary-

sowało się kilka nieznacznych fałdzików, i w oczach było coś głębszego, coś poważniejszego. Wogóle spoważniała, i wiatr górski przyćmił trochę tę tak białą niegdyś cerę twarzy. Za to ruchy jej nabrały więcej siły i sprężystości. Widać było, że ta kobieta nie wegetuje w cieplarni salonu, ale żyje śród ruchu, w zdrowem powietrzu, i sama myśli o sobie.

Gdy Burski wszedł do dworku, a Olga kawy nalewała, rzekł do niej odkrząknąwszy:

— Mówiłem ci, że wypiłem kilka lampek wina w mieście, ale ty nie pytałaś się, z kim?

— Czy na tem ojcu tak wiele zależy? — spokojnie zapytała Olga.

— Inaczej nie pytałbym ciebie! — mruknął Burski.

— Zdaje mi się, że na jedno wyjdzie, czy z panem Kazimierzem, czy Michałem lub Hieronimem!

— Nie na jedno, dziecię, nie na jedno! Co innego pan Kazimierz, lub Hieronim, którzy swoją drogą są chłopcy zacni i poczciwi; ale ja piłem dzisiaj wino... z kim innym!

— Nie domyślam się — krótko odpowiedziała Olga i zajęła się nalewaniem kawy.

— Spodziewam się, że się nie domyślisz; bo to ryba wielka, pan całą gębą!

Burski wydął usta z pewną dumą. Olga miała wyraz na twarzy, jakby dalej mówić nie chciała.

— I nic dalej nie pytasz? — ozwał się Burski z chmurką na czole.

— Nie jestem ciekawa! — odparła krótko Olga i chciała wyjść z pokoiku.

Burski chwycił ją za sukienkę.

— Przecież możesz zgadywać? — rzekł do niej prawie z prośbą.

— Na nic mi się to nie przyda! Wiesz ojciec dobrze, że wszystko mi w tym względzie obojętne.

— Jak to? I zamąż iść nie chcesz?

— Już nie raz powiedziałam ojcu, że zostanę tak aż do śmierci.

Głos Olgi zadrżał tutaj. W szafirowych oczach pojawiło się coś wilgotnego, ale żadna łza z nich nie wypłynęła.

Aby jednak patrzącemu na nią ojcu oczu swoich nie pokazać, odwróciła się szybko i poszła do kanarka, który w klatce wisiał przy oknie. Otworzyła drzwiczki, a łaskawe ptaszę frunęło z więzienia i siadło jej na ramieniu, dzióbiąc ją delikatnie w białe uszko.

— Cóż mi powiadasz, mój maciusiu — rzekła do niego z pieszczotą — cóż mi tak ciekawego mówisz?

Kanarek wciąż dzióbał uszko, trzepotał skrzydłami i dziękował za cukier, który miał dostać.

Burski smutno patrzył na tę scenę.

— Co ci tam z kanarka! — ozwał się po chwili — czyżby nie lepiej było, gdyby zamiast kanarka...

— Ojcze, dzisiaj chcesz mnie zmartwić! — odpowiedziała z wyrzutem Olga.

— Ale nie wiesz nawet, o kim myślę!

— To mi wszystko jedno.

— A jeśli ci powiem, że ten, z którym wypiłem trzy lampki węgrzyna —

— Nie chce bynajmniej wiedzieć.

— Był... był... ferwalter dóbr kameralnych!

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Jakto? czy też wiesz, co to jest ferwalter dóbr kameralnych? To pan całą gębą! Za dziesięć lat każdy ferwalter kupuje wieś, a jak żyje!

Olga miała teraz ochotę rozpłakać się.

W tej chwili przybiegł co tchu Mykita, mały goralczyk, komendant stadka owiec i jednej kozy, i zawołał z za proga, że jakaś pani jedzie i o drogę do dworku pytała.

Burski i Olga wybiegli na dziedziniec.

Z pomiędzy lasów wychylił się mały koczyk. Angielskie konie z wielkiem znużeniem ciągnęły pod górę.

Serce z radości uderzyło Oldze, chociaż sama nie wiedziała jeszcze, dla czego. Burski po kilku lampkach wina wyglądał jakby nie wiedział, co widzi.

Tymczasem wtoczył się koczyk na dziedziniec.

Czarno ubrana młoda kobieta powiewała zdala chustką do Olgi.

Olga poznała Adelaidę. Krzyknęła z radości, pobiegła co tchu i rzuciła się z płaczem w objęcie dawnej przyjaciółki.

Burski nie wiedział, co ma robić. Zdjął czapkę i stał pokornie przy stopniu koczyka. Coś mu nawet nieprzyjemnie było, bo widząc Adelaidę przed sobą, był pewny, że stał się znowu dawnym sługą.

Pocieszyła go jednak Adelaida. Podała mu rękę do uścisku, którą Burski gorąco ucałował i łzami oblał, bo teraz rozpłakał się na piękne.

— Hej! Mocny Boże, ktoby się był spodziewał! ktoby to wierzył temu, że kiedyś do mego domku przyjedzie...

I znowu całował rękę Adelaidy.

Adelaida była rozrzewniona takiem powitaniem.

Wprowadzono ją do małego dworku. Burski tymczasem zajął się końmi i powozem.

Kilka dni bawiła Adelaida w dworku, a jeszcze nie opowiedziała jej Olga wszystkiego, co przez ten czas tu robiła, czem się bawiła, jak spędzała lato a jak zimę. Pokazywała jej całe swoje małe gospodarstwo. Adelaida, której nigdy szczegóły gospodarstwa nie obchodziły, miała teraz wielką przyjemność, gdy Olga okazywała jej swoje kury, nazywała każdą po imieniu i zaznajamiała ją z jej

przymiotami. Pokazywała jej także owce i kozy, i tutaj umiała wiele zabawnego jej opowiedzieć. Był to jej cały świat, w tym świecie żyła. Potem nastąpiły krówki, wszystkie stosownie a nawet klasycznie ponazywane. Adelaida bawiła się tą aplikacyą klasycyzmu, która często była bardzo trafna.

Po krowach przyszła kolej na różne drzewka ogrodu, po ogrodzie mówiono o górach, lasach i skałach, a większą ich część miała Olga na brystolowym papierze, lekko naszkicowane akwarelą.

Wszystko to było nowością dla Adelaidy. Ona widziała dawniej to wszystko ryczałtem w pysznych widokach, a teraz zachwycała się szczególikami, które opowiadanie Olgi tak ożywić umiało.

Spostrzegła, jak mało potrzeba dla duszy kobiecej, jeżeli ta dusza umie z małego obrazka stworzyć sobie świat cały.

Dziwne uczucie ogarnęło Adelaidę. Uczuła jakiś głębszy, chłodzący spokój, którego na szerokim świecie nie doznała. Nawet owe straszliwe wieści i podejrzenia tak niesprawiedliwe, a jednak tak zbliżone pozorami do prawdy, które tam każdą chwilę życia jej zatruwały, przycichły tutaj i zupełnie zamilkły. Kobieta, która może najwięcej miała powodu ją nienawidzieć — ta kobieta przyciskała ją teraz gorąco do serca, i nawet ani na myśl jej nie przyszło podejrzywać ją o to, o co ją obcy podejrzywali i jawnie oskarzali.

W atmosferze tej kobiety było jej tak błogo, tak dobrze! Gdyby mogła pogodzić się z tą myślą i całą przeszłość swoją rzucić ludziom na pastwę, byłaby to uczyniła, byłaby pozostała w tym dworku z temi skałami i lasami.

Tego jednak zrobić nie mogła. Zbyt wysoko ceniła swoje nazwisko, aby zostawić na niem plamę, której być nie powinno. Tak pojmowała siebie.

Słuchała więc z wielką roskoszą szczebiotania Olgi, słuchała w nocy księżycowej gry na cytrze, która teraz nawet kilka góralskich piosenek wydźwięczyć umiała.

Jednej tylko struny nie poruszyła Olga — nie wspomniała nigdy o Edmundzie. Jakkolwiek Adelaida ztąd wnosiła rzeczy dla swoich zamysłów korzystne, utrudniało to jej jednak wprowadzenie sprawy do rozmowy. Lękała się nacisnąć na owe delikatne kobiece uczucie, które jak kwiat mimozy kryje się pod dotknięciem ręki nawet najprzyjaźniejszej.

A jednak wymagał tego jej własny interes. Od Olgi zawisło teraz całe jej przyszłe szczęście, które sobie wyrozumowała, zawisła jej rehabilitacya wobec świata.

Jakie jednak było usposobienie Olgi w tej mierze, czy mogła liczyć na siłę wspomnień, czy te wspomnienia przepadły bez wieści, czy jeszcze żyły w jej duszy?

Wszystko to były pytania, trudne do rozwiązania dla Adelaidy, a tak wielkiej wagi.

Jednego więc wieczora, gdy Burski z lasu jeszcze nie wrócił, siadła Adelaida przy Oldze i wzięła ją za rękę.

— Czy będziesz jak dawniej szczerą dla mnie? — rzekła do niej, całując ją w twarz.

— Ach, ja w tem ustroniu nie mam żadnej tajemnicy! — odpowiedziała Olga z lekkiem wzruszeniem — wszystko już wiesz, o wszystkiem mówiłam ci.

— Mam jednak prawo do subtelniejszych twoich zwierzeń, do twoich marzeń.

— Ach, te są tak zwykłe, tak pospolite tutaj!

— Powiedz mi jednak, czy wszystkie twoje marzenia mieszczą się pomiędzy temi skałami?

— Tu jest tak przestrono!

— Czy właśnie dlatego nie jest ci tu za pusto?

— Mogę to wszystko czemś napełnić.

— Czy możesz mieć dostateczny materyał do tego?

— To zależy od nas samych. Pająk jest małą istotką, a może tyle z siebie wysnuć.

— Jednak przyznasz, że trzeba mieć coś w sobie.

— Żadna kobieta nie jest bez tego.

Adelaida zamilczała tutaj chwilę. Olga widocznie unikała zupełnej spowiedzi. Nie chciała jej otworzyć swego serca na rozcież.

— Widzę, że mnie nie kochasz jak dawniej — ozwała się po chwili Adelaida z chmurką na czole — czuję, że nieszczęście moje oddaliło ludzi odemnie, a nawet i tych których najbardziej kochałam.

Oldze błysnęły łzy w oczach. Rzuciła się jej na szyję.

— Nie mów tak, nie mów, bo mi serce [illegible]
cież nie umiem być niewdzięczną, a wiem [illegible]
dla mnie uczyniła.

Adelaida z ciekawością spojrzała na nią.

— Cóżem dla ciebie uczyniła? Nie wiem o niczem.

Olga rozpłakała się i ukryła twarz na jej piersi.

— Nie bądź okrutną! Mówmy o czem innem.

— Może cię z błędu wyprowadzę.

— Nie chcę; czasami wiarą błądzić jest koniecznie potrzebnem do życia.

— Słów twoich nic nie rozumiem.

— Być może, żebyś ich nie zrozumiała, gdybym je całkowicie wypowiedziała. Wtedy byłoby mi jeszcze smutniej, niżeli teraz.

— Jesteś marzycielką bez wyraźnego celu życia.

— Cóż ja temu winna, że inaczej być nie może. Jest mi z tem dobrze.

— Ale jeśli drugiemu z tem nie dobrze?

Olga zbladła.

— Nic o tem dotąd nie wiedziałam — wyszepnęła cicha.

— Jakże możesz się dowiedzieć, jeśli unikasz rozmowy?

— Bo rozmowa taka mnie trwoży.

— Przyzwyczaiłaś się do mrzonek i lękasz się teraz, aby tych mrzonek wiatr rzeczywistości ci nie pomieszał.

— Być może.

— Gdyby jednak rzeczywistość tym mrzonkom twoim sprzyjała dzisiaj?

Olga pokręciła głową.

— Jesteś winną własnego nieszczęścia.

— Nie jestem nieszczęśliwą!

— Ale czy jesteś szczęśliwą?

Oczy Olgi zamigotały wilgocią.

— O ile nią być mogę — odpowiedziała po chwili.

Adelaida zmarszczyła brwi.

— Byłaś od dziecka idealistką — ozwała się po niejakiem milczeniu — ale zważ, że trzeba się z warunkami życia pogodzić. Marzenie jestto roskosz duszy, ale zbytnie marzenie robi z nas dzieci, które tylko cackami się bawią. Chcieć całe życie pozostać dzieckiem, znaczy wyrzekać się na zawsze rozumu, rzeczywistego szczęścia i obowiązków.

— Wskaż mi te obowiązki, których się wyrzekłam.

— Najpierwszym zawsze obowiązkiem jest, poznać siebie, to jest, co się winno sobie, a co innym.

— Zdaje mi się, że prócz was, nikomu nic nie winnam.

— Wyrzekasz się winy twojej?

Olga zarumieniła się.

— Nie wiem, co winą nazywasz, — szepnęła.

— Czyż to nie jest winą, jeśli wzbudziłaś w czyjem sercu pewne marzenia?

Olga spuściła oczy w ziemię i zaczęła bawić się rąbkiem sukni.

— Nie używałam do tego żadnych umyślnych środków — odpowiedziała cicho ale spokojnie.

— Wszystko jedno, ale widziałaś skutek.

Olga westchnęła całą piersią.

— I cóż na to mówisz?

— Przyjęłam drogę, jaką wyście mi wskazali.

— Jaką drogę?

— Drogę rezygnacyi.

— I przyszło ci to tak łatwo?

— Co przyszło łatwo?

— Żeś go kochać przestała?

— Kochać przestała? — z rozognioną twarzą zawołała Olga — kochać przestała? Któż to może powiedzieć, żem go kochać przestała?

Twarz Olgi pałała ogniem. Sama nie wiedziała, że w rozmowie zaszła tak daleko, jak nigdy nie chciała.

— Przecież cię o to nikt nie posądza! — ozwała się po chwili Adelaida.

— Daruj mi — odszepnęła Olga — bo mnie to boli, jeźli ktoś mógłby mi to zarzucić...

— Dziwna twoja miłość!

— Inną być nie może!

— I to nazywasz szczęściem?

— Tak jest, jedyne szczęście, którego kobiecie nikt wzbronić nie może. Każde inne ma szranki, które bolą i ranią.

— Jesteś egoistką!

— Egoistką? — z rozpłomienioną twarzą rzekła Olga — czyż to jest egoizmem, jeżeli dla jego szczęścia poświęciłam wszystkie śmielsze marzenia?

— Czyż on tego żądał od ciebie?

— Jego nieszczęśliwe położenie wymaga tego.

— A gdyby on sam żądał, poszłabyś za niego?

— Nigdy!

Adelaida spojrzała ze smutkiem na Olgę. Twarz Olgi była teraz spokojną i zimną jak marmur. Byłato twarz kobiety, która długą pracą nad sobą przyszła do spokoju rezygnacyi.

Wielka boleść malowała się na twarzy Adelaidy. W dziwnem była teraz położeniu. Dawniej wszelkiemi siłami starała się rozerwać ten węzeł, bo wyrozumowała sobie, że tak być musi, dzisiaj w konsekwencyi swojej teoryi pragnęła ten węzeł napowrót zawiązać, ale nie mogła.

Jakimże innym sposobem mogłaby strącić z siebie tę brzydką opinią, która ją teraz prześladowała, gdyby Olga jej pośrednictwa nie przyjęła?

Nie spodziewała się takiego uporu. Cały jej plan oczyszczenia siebie wobec opinii mógł się skończyć na niczem.

Jej serce ścisnęło się smutkiem.

— On ciebie kocha! — rzekła z pewną goryczą.

— Wiem o tem — szybko odpowiedziała Olga.

— Wiesz o tem? — z zadziwieniem zapytała Adelaida, wlepiając w twarz Olgi czarne oczy.

— Wiem; serce tak mi mówi — spokojnie odrzekła Olga.

— Dla czegoż nie miałby mnie kochać? Czyż miłość jest pajęczyną, którą lada podmuch wiatru urywa?

Adelaida patrzała iskrzącem okiem na piękną, rumieniejącą się twarz idealistki.

— Jak ci zazdroszczę twego idealizmu! Mieć takie serce, to prawdziwe szczęście; bez takiego serca kobieta szczęśliwą być nie może.

— To jest jedyne, kobiece szczęście!

— Inna kobieta inaczej swoje szczęście pojmuje; ja zazdroszczę ci twego.

Na tem skończyła się rozmowa, z której w końcu Adelaida dosyć była zadowoloną. Nie doszła ona do mety, do jakiej dojść chciała, ale nie wyrzekła się nadziei, że dojdzie.

Adelaida została jeszcze kilka dni w dworku, ale o miłości z Olgą już więcej nie mówiła.

Uprosiła tylko starego Burskiego, że Olga towarzyszyć jej będzie do Krakowa, a za dwa tygodnie obiecała sama ją odwieźć.

Burski długo skrobał się w głowę, nim na to zezwolił. Zdawało mu się, że mu znowu córkę odbierają, do której już się był tak blisko przybliżył. Adelaidzie jednak nie mógł odmówić — osobliwie gdy o swojem smutnem wdowieństwie mówiła.

— Niech jedzie Olga — rzekł w końcu — ona ma tysiące sposobów, któremi ludzi w największej boleści uspokoić umie.

Poczciwy Burski — myślała sobie przytem Adelaida, — przecież demokratyczne zasady Edmunda na coś przydać się mogą. (Dok. nast.)

NA RUINACH.

Noc gwiazd sklepieniem okryła już ziemię
Ubraną w kwiaty, cichym snem ujętą.
Tylko tam w górze, milion gwiazd nie drzemie,
I tylko w pierś mą bolem przyciśniętą
Nie sięgnie Anioł spokoju i ciszy...
O! gdybym przywdział na się habit mniszy
I włosiennicą karcił swoje ciało,
Możeby wtedy z mej duszy zleciało
Tych trosk tysiące, tych zwątpień, boleści...
Bo choćby życie to było bez treści,
Bez żądz i celu, wpatrzony w błękity,
Dla świata tego mając pierś z kamienia,
Pragnąłbym tylko méj duszy zbawienia!...
Szczęśliwi ludzie, co noszą habity!
Mnie od dzieciństwa śnią się inne stroje!
Chciałbym puklerzem piersi okryć moje,
A ramię mieczem uzbroić hartownym,
A mowę wpływem potężnym, cudownym,
A myśl piorunem! Błyskawicą myśli,
Potęgą słowa i ofiarą życia
W czyn to wprowadzić, co się w głowie kréśli,
Nieznane siły wywołać z ukrycia
I dać im wielką, niezłamaną dzielność
I niemi zdobyć Polski nieśmiertelność!
Lecz, gdy to wszystko zdziałać się nie może
I gdy w zwątpienie zanurza się dusza...
Skarżę się tylko tą skargą Juliusza:
Smutno mi Boże!
Wokoło cisza... tam wioska w dolinie:
Wśród drzew kwitnących czysty strumień płynie,
A brzeg mu wiosna ubrała kwiatami...
Zda się, że Anioł spokoju skrzydłami
Białemi okrył i łąkę i wioskę,
Łagodząc w sercu tęsknotę i troskę.
Lecz ja uciekam z roskosznej doliny!
Pragnę zaczerpnąć powietrza u góry...
Pójdę, gdzie niegdyś stały zamku mury,
A gdzie dziś sterczą posępne ruiny.

Tam na ruinach myśl odpocznie blada,
Tam mi swą przeszłość wielką opowiada
Ten głos tak drogi, jak praojców kości,
Ten niemy świadek narodu przeszłości,
Wielkości jego! On, jak dziadek stary
Swą opowieścią serce me uzbroi,
I boleść jego wiarą mi ukoi,
I znów zapali do walk i ofiary.

Odwieczne mury! — jak odwieczne dzieje...
A po ruinach polny kwiat się wspina,
Jak pieśń harfiarza, co dawne koleje
Na smętną nutę opiewać zaczyna,
Aż ton nad martwym zawieszony głazem,
Jęknie boleśnie i w łzy się rozpłynie...

Jestem więc w starej praojców dziedzinie...
Ten zamek w gruzach jest wiernym obrazem
Tych, co spoczęli na wieki wśród gruzów...
Spojrzeniem wzgardy on wita intruzów,
Co chcą im bluźnić, stając śmiało nogą
Na grobach ludzi, co powstać nie mogą.

Niechaj dzisiejsze pokolenie — karły
Plwają szyderstwem na ojców upadłych!
Niechaj te wnuki, które się zaparły
Sławy dziedzicznej, na twarzach pobladłych
Powagę sędziów kładną i osądzą
Tych, co błądzili, choć sami tak błądzą!
Ci, co w tych grobach posnęli na zawsze,
Już nie powstaną, bo sen mają twardy...
Tylko ich rany coraz będą krwawsze,
Tylko im dadzą milczenie pogardy...

O! nie pytajcie mnie gruzy i cienia
Zmarłych praojców, co pod te sklepienia
Przyjdziecie błądzić przy świetle księżyca...
O! nie pytajcie, dlaczego tęsknica

Serce me dręczy! dlaczego przed wami
Opuszczam na dół przepełnione łzami
Oczy! bo gdybym odpowiedział prawdę,
Wybyście może krzyknęli mi: kłamiesz!
O! wolę milczeć i cierpieć...
Zaprawdę!

Jeśli Ty, Boże, niewoli nie złamiesz,
Jeśli my sami mamy matkę wskrzesić,
Jeśli zbawienie w naszem leży łonie,
Trzebaby może nad grobem zawiesić
Ten czarny napis: Finis Poloniae!

Bo gdzież ratunek? i gdzież jest ta praca,
Która narodom dawne życie wraca?
Gdzież jest ta wiara w niezłamaną dzielność
Tych, co za prawdy walczą nieśmiertelność?
Sroga noc błędów zewsząd nas otacza,
Chmury przesądów kryją nasze nieba;
I my, jak obraz wiecznego tułacza,
Błądzim nie wiedząc gdzie spocząć potrzeba;
Błądzim, nie wiedząc, — czyli nasza droga
Wiedzie do Boga, czyli też od Boga!
Powstańcie z grobów, bohaterów cienie!
Powstańcie z grobów! wszak jęków miliony
Zdolne wieczności z was zerwać zasłony
I serce zimne przemienić w płomienie?
Przed zniewieściałem naszem pokoleniem
Roztoczcie obraz przeminionéj sławy!
Rozpalcie serca zapału płomieniem
Wielcy Zygmunci! Chrobre Bolesławy!
A może urok rodziméj wielkości
Zbudzi ospałe w piersiach naszych męstwo,
A kiedy serca zadrzą do wolności,
Po zgon pójdziemy! — albo po zwycięztwo!
Cicho... jęk żaden nie mąci milczenia...
Głosowi memu echo odpowiada,
I tylko czasem z ciemnego sklepienia
Leci kamyczek i w gruzy zapada;
Tylko się czasem ozwie jęk puszczyka,
I wąż, co pełza po świeżej murawie,
Padającego zlęknie się kamyka
I syknie zcicha i skryje się w trawie...

Smutkowi memu mogę puścić wodze,
Wszakże w ruinach nikt mnie nie podsłucha!
Pogonię myślą tam, po mlecznej drodze,
Gwiazd się promiennych uchwycę łańcucha
I po nim wgórę wzniosę się do Tego,
Który tam mieszka... z łańcuchem niewoli
Stanę przed tronem i spytam: — dlaczego
Dotąd nam lepszej nie chce zesłać doli?
Dlaczego głuchy na milionów jęki?
Dlaczego naszej nie chce skrócić męki?

Ale gdy groźnie On zapytać zechce,
Czemu mój naród sam się podnieść nie chce?
Jeśli zapyta — od upadku chwili
Czemu tak mało myśmy postąpili?
Czemu niezgoda, co nas w grób wtrąciła,
Dzieli nas dotąd, jak dawniej dzieliła?
Czemu skarlałe bohaterów plemię
Wciąż w bezczynności ducha, myśli drzemie,
A chociaż serca ustawicznie bolą,
I wciąż się krwawią dawne, stare rany,
Płacze, jak więzień, co się zrósł z niewolą,
Gdy czyjaś ręka kruszy mu kajdany?...
O, nie! nie spytam! bo serce me jęknie,
Zadrzy fałszywym akordem i pęknie...

Na niebie jaśniej... księżyc zbladł, i gwiazdy
Przed wschodem słońca kryją się w lazury...
Wśród obudzonej nanowo natury
Już rozpoczyna swe powietrzne jazdy
Mały skowronek, a w gajach chór ptaszy
Radośnym hymnem Stwórcę świata chwali.
Wschód się odziewa czerwienią korali,
A nocne twory, które światło straszy,
Kryją się z trwogą... Sowa, co siedziała
Na złomie wieży, za tarczą herbową
Chowa się w gruzy z powagą sfinksową,
Kędy się światłość nie będzie już śmiała
Przedrzeć — a z ptaka napuszonej miny,
Zda się, że w gruzach kryje pergaminy.

W dolinach zwolna ruch wszczyna się nowy.
Biegnie do pracy lud niezmordowany,
Barki mu kryją ubogie łachmany,
I ma na piersiach krzyżyk Chrystusowy.
Pracuje gorżko dla kawałka chleba
I w pocie czoła glebę ojców orze...
Ludowi temu z błękitnego nieba
Zeslij swą łaskę i błogosław, Boże!

Lecz — cóż to znowu? od zachodniej strony
Jakieś się tłumy w nasze pola garną..
Ludzi i wózków szereg nieskończony
Wciąż ku nam ciągnie! ale nie z ofiarną
Przybywa ręką! tej szarańczy roje
Chcą spożytkować ludu tego znoje!
Przybywa do nas skądeś aż zza morza,
Niosąc na sobie napis: kara Boża!
Wszak to wędrówka narodów znać nowa?
Czegoż chcą od nas tutaj cudzoziemcy?

Zamorskie stroje i zamorska mowa...
Czy to Hunnowie?
— Nie! to tylko Niemcy!
To pod Grunwaldem zdeptana gadzina
Przyszła do życia i pełzać zaczyna,
I nas swem zimnem otoczywszy cielskiem
Chciałaby zrobić jaszczurką i płazem.
Trąby Grunwaldu! ozwijcie się razem
I swém potężnem graniem archanielskiem
Wstrząśnijcie ziemią, by podłe kąkole
Precz odrzuciła! niechaj świat uwierzy,
Że jeszcze w Polsce dawna siła leży,
Co może dawne powtórzyć Psie pole!
Cóż wy? — milczycie!... więc nam trzeba zginąć?
W sławiańskiem morzu wiecznie się rozpłynąć,
W białego cara, jak w Boga uwierzyć
I jak niewolnik czołem mu uderzyć?
My, cośmy byli sławiańszczyzny czołem,
My mamy stanąć z Kirgizami społem,
I podać rękę zakrwawionej dłoni
I mamy kłamać, że my — to są oni!?
O! lepiej zginąć! lepiej złożyć kości
Przy ojcach naszych! i w skonania chwilę
Przypomnieć światu, co to Termopile!
Niechaj niewolnik wolnym pozazdrości!
Krew do ostatniej wysączmy kropelki,
A świat wyjęknie: zginął naród wielki!
Zginął... ha! cóż to... po powietrznej fali
Jakież to dźwięki płyną tu z oddali...
Słoneczna jasność gruzy ogarnęła...
Spiewa ktoś: jeszcze Polska nie zginęła!
Zrywam się z ruin, serce me kołacze...
Płakało z bolu — z radości zapłacze...
Gdzież jest ten spiewak? — tam... tam... na ruinie
Wyniosłej baszty stoi młody chłopiec,
Oczy wytężył na Kościuszki kopiec...
To z jego piersi pieśń zbawienia płynie!...
W ręku ma książki — znać idzie do szkoły,
Siermięga silne kryje mu ramiona,
Znać poźniej ojca on dzieli mozoły...
Cóż to za ciepło w głębi mego łona...
Czemuż mi serce znów tak mocno bije...
O! Boże! bracia! nasza Polska żyje!!
Bo który naród w kajdanach niewoli
Potrafi światło rozniecić u ludu,
To mu ta siła umrzeć nie pozwoli
I zmartwychwstania doczeka się cudu.
Jeżeli szlachta powstać już nie zdoła
I już rycerskiej nie udźwignie zbroi,
To lud ją z sobą do zwycięstw powoła,
Co przywilejów straty się nie boi,
I jak bywało już dawniej przed laty,
Z kosą Racławic pójdzie na armaty!
Tylko go sercem ogrzejmy! niech wierzy,
Że w naszych sercach również miłość leży!
Tylko niech nasze światło mu zaświeci;
A grom, co z dłoni wieśniaczej wyleci,
Wkrótce nam zmieni czarną noc konania
W promienny ranek, w jutrznię Zmartwychstania!

St. Gr........

Wędrówki zwierząt.

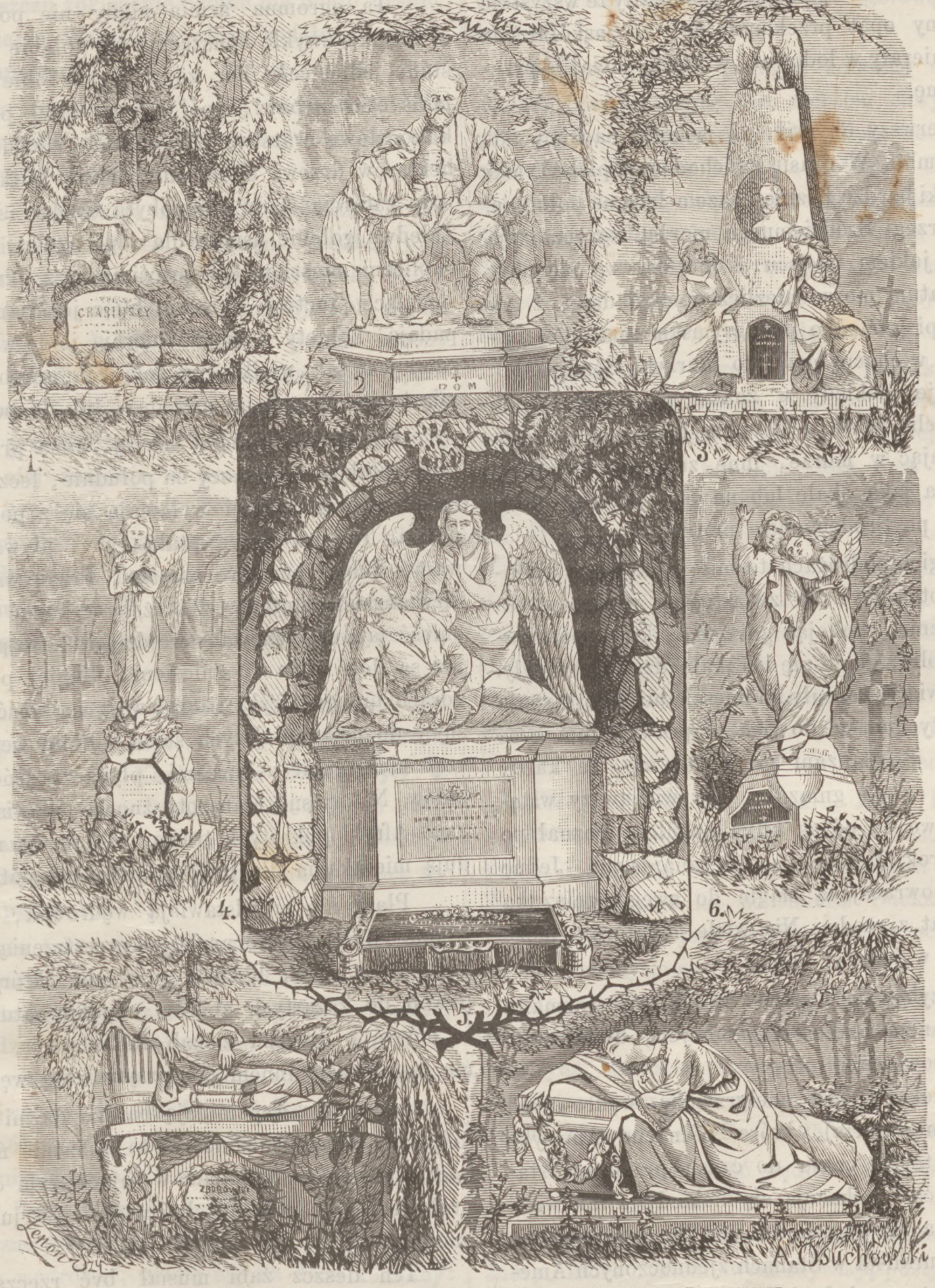
(DOKOŃCZENIE.)

Wędrówki niektórych ptaków są znane doskonale; wiadomo, zkąd odlatują, gdzie odpoczywają, dokąd lecą. Wszystko to wykonywa się z taką dokładnością, że w dzień oznaczony naprzód można być pewnym ich pojawienia się. I tak, zawsze w jesieni, stada przepiórek, emigrując, padają zmęczone na wyspie Malcie, gdzie je łowią masami na potrzeby miejscowej ludności lub nawet na handel z sąsiednim krajem. Dojeżdżając do tej wyspy, widziałem tych biednych podróżnych, padających ze zmęczenia na pokład naszego okrętu.

Tajemnicze wędrówki jaskółek szczególnie zajmowały uczonych. Gdzie się podziewają te zachwycające ptaszynki, gdy znikają tak niespodzianie? Tego nie wiedziano dawniej i robiono najrozmaitsze i najśmieszniejsze przypuszczenia. Ponieważ w jesieni jaskółki najczęściej uwijają się około bagnisk, szukając tam pożywienia, i zdają się w nich pogrążać, myślano z początku, że się zakopują w błoto, a wychodzą ztamtąd za nadejściem ciepłych dni wiosennych, które je odżywiają po sześciomiesięcznym śnie. Olaus Magus, znakomity naturalista szwedzki, pierwszy wymyślił tę bajkę, dodając nawet, że rybacy norwegscy łowiąc ryby, znajdowali w swych sieciach wielką ilość jaskółek, które dość było potrzymać około pieca, żeby przyszły do siebie i ożyły.

Linneusz, Buffon i nawet Cuvier wierzyli tej baśni. Jedna z akademij niemieckich, chcąc się przekonać naocznie o tem podaniu, ofiarowała za każdą jaskółkę, wyciągniętą z wody, tyle srebra, ile ważyć będą ptaszki, lecz nikt nie zgłosił się po nagrodę.

Inni uczeni sądzili, że zamiast odlatywać w dalekie strony, jaskółki chowają się i zaumierają na czas zimowy w jakiejkolwiek jaskini, tak jak to robią nietoperze.



CELNIEJSZE NAGROBKI NA CMENTARZU ŁYCZAKOWSKIM WE LWOWIE.

(Patrz na str. 360).

Człowiek nadzwyczaj godny wiary, znakomity chirurg przyboczny Napoleona, imieniem Larrey, opowiadał, iż odkrył w okolicach Maurienne grotę, w której całe stolowanie było pokryte jaskółkami, uczepionemi do niego jak rój pszczół.

Lecz doświadczenia Spalanzaniego obaliły te wszystkie bajki. Ten uczony opat przekonał się, że jaskółki nie zasypiały lecz umierały w lodowni, w której chciał je przechować przez zimę.

Adanson pierwszy objawił, że jaskółki na zimę odlatują do Senegambii. W czasie nadchodzącej pielgrzymki zbierają się te ptaki bardzo licznie i razem lecą na południe. Przybywszy na brzegi Śródziemnego morza, zgromadzają się na wzniosłem jakiem miejscu, i doczekawszy się pory przyjaźnej, przelatują morze niezliczonemi stadami I tak latem jaskółka lepi gniazdko pod gsymsami pałaców naszych, a w zimie w chacie biednego murzyna Senegambii.

Spotykamy je niekiedy w znacznych odległościach od lądu, a jeżeli wiatr jest przeciwny ich lotowi, wiele ginie upadając w morze, inne zaś spuszczają się dla odpoczynku na jaką skałę lub na liny żaglowe okrętów, pływających po Śródziemnem morzu.

Lecz po długich podróżach te miłe i zawsze z radością oczekiwane ptaszyny, bo zwiastujące wiosnę, wracają do nas corocznie, szukając gniazdka, które pozostawiły, szukając okolic, gdzie się ich małe dziatki wylęgły. Jeżeli deszcze lub wiatry zepsuły im mieszkania, przystępują ci budownicy natychmiast do ich naprawy, nim czas miłości nadejdzie. Spallanzani przekonał się, że każdy ptaszek wracał do swego gniazdka. Przywiązawszy wstążeczki różnokolorowe do nóżek kilku jaskółek, poznał po nich na przyszły rok dawnych swych znajomych. Jednę jaskółkę widział powracającą ciągle do swego gniazdka przez ośmnaście lat z rzędu. Nie wiele lokatorów może przeżyć tak długo w jednym domu!

Podobnie przybywają do nas z północy rozmaite ptaki, naglone zimnem okolic biegunowych, do których na wiosnę znowu powracają.

Nie mniej ciekawą jest pielgrzymka wędrownych gołębi (Columba migratoria), które północną Amerykę zamieszkują. Ptaki te od czasu do czasu przelatują stadami na inne miejsca i pokazują się niekiedy w tak wielkiej ilości, że liczba ich przechodzi wszelkie wyobrażenie. Wilson, sławny naturalista w Stanach zjednoczonych Ameryki, wyrachował, że w jednej kolumnie, przelatującej przez Indianę, było do dwóch miliardów gołębi, które zajmowały przestrzeń na wiorstę szeroką a na dwie mili długą. Masa przelatujących wędrownych gołębi nieraz jest tak zbita, iż słońce południowe zupełnie bywa zaćmione, a odchody przelatujących ptaków jak śnieg na ziemię spadają. Czasami stada lecących zajmują do trzydziestu mil kwadratowych, a chociaż gołębie lecą z prędkością dziesięciu mil na godzinę, stado takie często całe trzy godziny leci nad jednem miejscem. Audubon powiada, że widział gołębie lecące nieprzerwaną kolumną przez trzy dni. Cała ludność krajowa uzbraja się w te dnie na polowanie.

Ta ogromna armia nigdy nie podróżuje w nocy; o zmroku zwykle spuszczają się gołębie na bory, i wtedy stado jedno cały bór zająć jest zdolne, a jeżeli w nim jakiś czas zabawi, gnój ich na całej przestrzeni tworzy kilkocalową warstwę. Widać w rozległości kilku tysięcy hektarów drzewa ogołocone a nawet całkiem poniszczone, i do zatarcia śladu ich pobytu trzeba niekiedy lat kilku. Zaledwo gołębie usiądą dla odpoczynku, wpadają do lasu okoliczni mieszkańce i sprawiają rzeź okropną, strzelając siedzące ptactwo, a nawet bijąc je kijami. Biedne ofiary padają, kobiety i dzieci zbierają je do worów. Zbiór czasami jest tak wielki, że solą ich mięso i rozsyłają do miast okolicznych na sprzedaż, lub do portów na okręty.

Jak powiedzieliśmy wyżej, zima przypędza większą część ptaków z północy na południe, lecz Manszoty przylądka Dobrej Nadziei wyłamują się z pod tego ogólnego prawa. Te prawdziwe ptaki-ryby, pływacze niezmordowani, lubią burzliwe morze. Przybywają do brzegów afrykańskich dla tego tylko, żeby wykopać tam swe gniazda, znieść jaja i wychować swe dzieci. Następnie, gdy młode już są dość silne do zniesienia długiej podróży, rzucają gorące brzegi Afryki i odpływają na sześć zimowych miesięcy do najzimniejszych stron południowego oceanu, walcząc nieustannie z burzami, płynąc pośród noszących się lodów. Na wiosnę Manszoty znowu pojawiają się na brzegach Afryki pokrytych trawą, roskoszują na słońcu i budują mieszkania dla przyszłego swego potomstwa.

Płazy nie przedstawiają wędrówek, któreby mogły zdumieć ilością podróżnych, lub przestrzenią, którą przebiegają, lecz w ich historyi jest fakt, który długo dawał powód do zażartych sporów między naturalistami. Chcę tu mówić o deszczu z żab lub ropuch, deszczu, który nie jest niczem innem jak przymusową wędrówką.

Już o tem wspominają bardzo dawni badacze przyrody, ale długo sądzono, że to są baśnie nie warte wiary. Lecz obserwacye dokonane w najnowszym czasie dowiodły istnienie tego fenomenu, który dziś jest już dobrze objaśnionym.

Ten deszcz żabi musiał być rzeczą dość częstą w starej Grecyi, bo Arystoteles nadał mu nawet szczególne miano „posłańców Jowisza“.

Dwa wypadki były obserwowane nie tak dawno jeszcze. Pierwszy wypadek, którego prawdziwość została poręczoną przez wszystkich żołnierzy całej armii francuskiej, która w czasie rewolucyi znajdowała się w marszu na północ Francyi. W czystem polu zaczął padać deszcz

małych ropuch, które chłustały po twarzy biednych żołnierzy, wtedy, gdy woda moczyła ich do nitki. Zdziwieni tym niespodzianym napadem, i chcąc się przekonać, że ten deszcz żyjący pada z góry, żołnierze rozpostarli chustki nad swemi głowami, które natychmiast pokryły się ropuchami. Po deszczu zdziwienie ogólne nie miało granic, gdy wszyscy żołnierze znaleźli te płazy w fałdach swych trójgraniastych kapeluszy.

Drugi deszcz ropuch zdarzył się w mieście Ham w 1834 roku; wszystkie ulice, dachy i rury ściekowe pokryły się temi brzydkiemi zwierzątkami.

Już w epoce restauracyi znakomity lekarz Kardan bardzo racyonalnie objaśnił ten fenomen. Według jego zdania deszcz żabi pochodzi z trąb powietrznych, które porywają te zwierzątka w bagnach, znajdujących się na górach, i przenoszą w dolinę. Wkrótce potem uczony Dumeril wystąpił przed Akademią francuską, gdy wypadek ten obudził wielkie spory, z tem samem zdaniem, że trąby powietrzne, przechodząc nad bagnami pumpują, wodę z tem, co się w niej znajduje, i przenoszą na równiny. Dla poparcia tej hypotezy Arago dowiódł, że trąby powietrzne przenoszą niekiedy ogromne masy wód morskich, które potem spadają pod postacią deszczu w oddaleniu czterech lub pięciu mil. Grad, który często daleko więcej waży, niż małe żabki, utrzymuje się jednak przez pewien czas w powietrzu.

Zarzucano, że gdyby to zdanie było słusznem, musiałby też czasami padać deszcz rybi. Otóż niedawno jeszcze zdarzyło się to na Kaukazie w Baku; były to małe rybki, które jak żaby istnieją w błotnistych miejscach w niesłychanej ilości, tak że mieszkańcy zbierają je przetakami i dają do jedzenia bydłu, lub używają zamiast gnoju do uprawy roli.

Śledzie należą także do ryb wędrujących. Ryby te w niezliczonych masach zapełniają Ocean Północny, a mianowicie zatoki Grenlandyi, Islandyi, Laponii i Wielkiej Brytanii. Gromadzą się w niesłychanej ilości; nie są to już miliony lecz mnogie miliardy, które corocznie odpływają ze swojej ojczyzny na południe, dając środki pożywienia ludności północnych brzegów Europy i to najbiedniejszej. Tylko niesłychana płodność śledzi tłumaczy, że zjadane w takiej ilości i przez tyle wieków, nie wyginęły dotąd te pożyteczne stworzenia. Śledzie wyruszając z północnych stron na wędrówki, dzielą się na dwie kolumny: jedna idąc wzdłuż brzegów Islandyi kieruje się ku Ameryce; druga płynie w przeciwną stronę wzdłuż brzegów Norwegii, i dopłynąwszy do południowych jej kończyn, dzieli się na dwie gałęzie, z których jedna wchodzi do Bałtyku, druga zaś idzie wzdłuż północnych brzegów Francyi. Droga ich jest do tego stopnia stałą, że niektórzy uczeni oznaczyli ją na mapach geograficznych. Kolumny ciągnących śledzi często dochodzą długości 5 mil, a szerokość ½ mili pols. dosięga. W 1773 roku na wybrzeżach Szkocyi śledzie pojawiły się w tak wielkiej ilości, że w jednej zatoce Torridon zapełniano niemi codziennie 650 szalup, co równa się 20 tysiącom beczek. Połów ten trwał 60 nocy, więc w przybliżeniu dał ogółową sumę 1,200000 beczek.

Rybacy zdaleka poznają kolumny śledzi; we dnie chmury ptastwa krążą nad morzem chwytając te, które zbyt płytko płyną pod powierzchnią wody; w nocy zaś oświetlone blaskiem księżyca kolumny śledzi mienią się tęczowemi barwy srebra, szmaragdu i szafiru; morze pokrywa się jakby kobiercem fałdzistym z drogich kamieni utkanym, a światło fosforescyjne powiększa jeszcze wspaniałość tego obrazu. Ta masa żywa pruje fale z szybkością statku płynącego z rozpiętemi żaglami.

Hollandya bez tego bogatego podatku, jaki jej opłacają śledzie, z trudnością mogłaby dobrobyt swój utrzymać — połów bowiem śledzi jest dla niej niewyczerpanem źródłem bogactwa, kopalnią złota. Jest nawet przysłowie u Holendrów, że Amsterdam wybudowany na głowach śledzi. Handel tą rybą kwitnął już w 12. stuleciu. Według starych kronik angielskie miasto Donwich obowiązane było składać królowi tytułem podatku 24 tys. śledzi. Przedtem jednak jeszcze, bo już w roku 709 trudniono się połowem śledzi na brzegach Anglii, jak o tem kroniki klasztoru Esham wspominają. Dziś za pomocą telegrafu elektrycznego, zaprowadzonego w Norwegii, rybacy zawiadamiani bywają wcześnie o zbliżających się ławicach śledzi.

Prosty rybak holenderski, Jerzy Buckalz, zmarły w 1397 roku, podał prosty sposób nasolania i wędzenia śledzi, i jemu to Hollandya zawdzięcza swą pomyślność. W sto piędziesiąt lat po śmierci Buckalza cesarz Karol V. dla uczczenia jego pamięci jadł uroczyście śledzia na grobie przemyślnego rybaka.

Jak powiedzieliśmy wyżej, tylko wielka płodność śledzia ochrania go od wyniszczenia, bo wieloryb, największa ryba, karmi się wyłącznie śledziami, pożerając miliony ich, a człowiek w niemniejszej ilości wyławia. Każda samka corocznie składa od 25 — 35 tysięcy jaj.

Wreszcie zmyślność wędrowania postrzegamy u tuńczykow i łososi.

Największemi jednak niszczycielami ziemi nie są żubry, które rykiem swym ożywiają pustynię, ani gołębie, które pustoszą lasy, lecz małe i słabe owady, których gniew Jehowy zesłał na ziemię dla pokazania człowiekowi wszechmocności swojej: są to szarańcze wędrowne, jedna z najokropniejszych plag rolnictwa. W Afryce i Azyi nieprzeliczone jej kohorty są tak gęste, że gdy nadchodzą, zdaleka wyglądają jak czarne chmury, które zakrywają słońce i pogrążają krainę, nad którą lecą, w głęboką

ciemność. Szum straszny, podobny do szumu wodospadu, oznajmia przebycie tej strasznej plagi. Gdy szarańcza usiada na ziemię, tworzy czasami żyjącą warstwę na stopę grubą, a gdy zmęczona lotem upadnie na drzewa, gałęzie gną się i łamią pod ich ciężarem. Cała droga, po której przeszły te żarłoczne owady, wygląda jakby spalona, bo na niej nie pozostaje ani ślad żadnej roślinności.

Jeniusz ludzki jest bezsilnym dla odparcia tej plagi. Napróżno posyłają wojska, napróżno występuje ludność dla jej niszczenia, wszystkie starania daremne. A jeżeli śmierć dotknie wielką ilość tych zgłodniałych gości, ich trupy gnijące psują powietrze, zarażają ludzi i po ruinie następuje epidemia. Ludzie giną tysiącami.

Te okropne wędrówki odbywały się w różnych epokach. Pierwszy Mojżesz powiada, że na słowo Boga, szarańcza pokryła wszystkie ziemie w Egipcie, zjadła plony i napadła nawet na pałac Faraonów. Pliniusz mówi, że w Afryce niektóre miejsca były zupełnie wyniszczczone z ludności po przejściu szarańczy. Strach, który obudzały te owady, tak był wielki, że S. Jeremiasz zawołał: Cóż jest straszniejszego i silniejszego nad szarańczę? Cały przemysł ludzki nie może się jej oprzeć. Bóg jeden kieruje jej drogami.

Historya tegoczesna na nieszczęście bardzo często musi zanotowywać pojawianie się szarańczy. Jedna kolumna tych owadów jak burza zaćmiła słońce, i padając na ziemię powstrzymała marsz armii Karola XII w Besarabii.

W wojennej historyi Karola XII czytamy: „Okropna ilość szarańczy podejmowała się codziennie przed południem od strony morza; z początku były to jakby obłoczki, następnie jak wielka chmura, która była tak ciemną i gęstą, że zaćmiła słońce nad całą tą obszerną równiną. Owady te nie leciały blizko od ziemi, lecz prawie na tej wysokości co jaskółki, do chwili, póki nie znalazły pola, na które rzucić się mogły. Spotykano je często na drodze, z której podejmowały się z szumem podobnym do szumu nawałnicy. Czasami siadały na też same pola, na których stało wojsko, nie bojąc się ani ludzi, ani koni; pokrywały wszystkie przedmioty, lazły na ludzi, dopóki nie porzucono obozowiska i nie wyszukano drugiego. Wszędzie, gdzie szarańcza spoczęła, spustoszenie było okropne, bo trawę zjadała aż do korzeni, tak że na miejscu, które poprzednio było pokryte miłą zielonością, zostawała pustynia piasku. Uwierzyć byłoby niepodobna, że takie małe stworzenie zdoła przelecieć morze, gdyby ciężkie doświadczenie nie przekonało o tem biedne ludy. Przeleciawszy Czarne morze szarańcza nie zatrzymywała się na brzegu, lecz leciała dalej przez całe prowincye, w których niszczyła wszystko, co spotkała, nawet drzwi domów.

We wszystkich czasach człowiek starał się oprzeć temu strasznemu wrogowi. W starożytności było nakazane prawem niszczenie tych wędrownych owadów. Na wyspie Lemnos, jako roczny podatek każden obywatel powinien był przedstawić pewną ilość miar napełnionych szarańczą. Pliniusz powiada, że w Cyrenaice prawo obowiązywało lud, wychodzić trzy razy na rok masami dla niszczenia szarańczy. Obywatela, który uchylał się od tego, karano jak zbiega. Następnie w Syryi używano do tego legionów rzymskich. W najnowszych czasach zaczęto postępować tak samo, jak naprzykład to miało miejsce w 1780 w Transylwanii. Całe pułki zbierały szarańcze, a tysiąc pięć ludzi było naznaczonych do zabijania, palenia lub zakopywania tego, co tamci nazbierali. W następnym roku plaga powtórzyła się tak, że dla odparcia wroga potrzeba było podjąć ludność całego kraju, a mimo to wiele wsi i miast zostało zupełnie spustoszonych. Niedawno Ibrahim Basza wysłał całe swe wojsko dla niszczenia tych owadów, i sam na ich czele dawał przykład żołnierzom.

Chociaż szarańczą wędrowną uważa się jako jedną z największych plag rolnictwa, i ona przecież oddaje pewno usługi człowiekowi. W starożytności jedzono ją, i dziś jeszcze w wielu krajach Azyi i Afryki ten zwyczaj zachował się. W czasach biblijnych żydzi ją jedli w wielkiej ilości, bo Mojżesz oznacza prawem cztery gatunki, które jeść można. Na brzegach zatoki Arabskiej żyją plemiona, których pożywienie przeważnie składa się z szarańczy. W Bagdadzie na rynkach sprzedają szarańczę. W Arabii suszą ją, mielą i robią placki zastępujące chleb. W czasie napadu jej na Niemcy 1693 r. mieszkańcy spustoszeni jedli wrogów swoich. Ci, co jedli szarańczę, mówią, że mięso jej bardzo przyjemnego smaku i podobne do raków. Buszmany, mieszkający w kraju zupełnie pozbawionym wszelkiej roślinności, nie mający ani odzieży, ani mieszkań, karmią się jedną prawie szarańczą. Levingstone o smaku tych owadów odzywa się z wielką pochwałą i uważa szarańczę w Afryce jako dar Nieba.

Inne owady nie tyle odznaczają się ilością w swoich wędrówkach, jak porządkiem, w jakim tę podróż odbywają: czasami armia tych owadów postępuje z ostrożnościami takiemi, jak armia w czasie kampanii. Przywódca kieruje wszystkiem. Takiemi są termity wędrowne, które, gdy się wybierają na wędrówkę, wyciągają się w jednę linią, wszystkie robocze idą w kolumnach, po 10 — 15 jedno obok drugiego jak żołnierze w marszu. Równocześnie inne termity, uzbrojone mocnemi szczękami i pełniące obowiązki wojenne, idą z boków kolumny, żeby uchronić główną armią od niespodziewanego ataku. Jeżeli po drodze znajdzie się trawa wyższa od innych, natychmiast jeden z żołnierzy włazi aż na wierzchołek opatrując miejscowość. Jeżeli grozi jakie niebezpieczeństwo, to wedeta daje znak

uderzając nóżkami po liściach. Słysząc to cała armia wydaje świst i podwaja krok.

Obok owadów wędrownych należy postawić owady, które nie odbywając długich wędrówek pojawiają się niekiedy w tak wielkiej ilości, iż stają się plagą naszych wsi. Jednem z najzwyklejszych w Polsce jest chrząszcz, sprawiający wielkie spustoszenia w lasach i w polu. Niekiedy w bardzo krótkim przeciągu czasu zdoła cały las ogołocić z liścia, jak to widziałem często na Litwie. Ogołocenie drzew z liści jest tak wielkie, że przechodząc latem po lesie możnaby myśleć, że to zima, gdyby palące promienie słońca nie przeczyły temu.

Chrząszcze czasami porzucają lasy i wpadają na zasiane zbożem pola. Ilość ich w 1574 roku na południowych brzegach Anglii była tak wielka, że upadłszy do rzeki Sewerny, powstrzymały ruch kół młyńskich. W kronikach 1683 roku czytamy, że owady te rozmnożyły się w Irlandyi do tego stopnia, że w hrabstwie Galway powietrze tak było napełnione temi żukami, iż żyć tam prawie nie można było, a ziemia usłana była taką grubą warstwą, że drogi czasami nie można było odszukać.

Niektóre owady, nawet bardzo małe, zjadają i niszczą nasze zasiewy wszędzie, gdzie się tylko pojawią, i żadna siła ludzka nie jest w stanie powstrzymać tych łupieżców. Według obliczeń p. Guerin de Ménneville, zjadają one rocznie wielką część zbiorów Francyi, niekiedy nawet ćwierć plonu, co wynosi szkodę około pół miliarda franków.

Nadzwyczajna prędkość w rozmnażaniu się owadów potwierdza — pomimo drobne ich kształty — sprawiedliwość tego smutnego obrachowania. Jeden z postrzegaczy zamknął dwanaście chrząszczyków, zwanych wołkami, z dwunastu samkami w skrzyni napełnionej zbożem. W sześć miesięcy te chrząszczyki, nie dłuższe nad trzy milimetry, rozmnożyły się niesłychanie i zjadły trzydzieści funtów zboża, wśród którego ich zostawiono. Obliczono następnie, że ten mały chrząszczyk zjada rocznie w europejskich szpichlerzach zboża na 100 milionów franków.

Niektóre czerwie, posiadające szczególne zwyczaje, odbywają bardzo ciekawe wędrówki. Są to wielkie kraby, żyjące w Brazylii. Oddychają one jak i wszystkie czerwie wodne za pomocą skrzeł, żyją jednak na lądzie, i można je spotkać w górach i lasach brezylijskich w różnych rozpadlinach skał. Lecz corocznie zwierzęta te odbywają wędrówkę do morza, dla złożenia tam swego potomstwa, a po spełnieniu tej czynności wracają do miejsc swych ulubionych.

Ponieważ w ciągu tej długiej podróży oddychać potrzeba, kraby te posiadają nad skrzelami rodzaj woreczków, służących za schowek na wodę. Przed podróżą każdy krab napełnia woreczek wodą; w czasie marszu płyn wycieka kroplami na organa oddechowe i zwilża ich naczynia. Skrzela więc pokryte ciągle wodą spełniają doskonale swoje przeznaczenie, i zwierzę wodne prowadzi życie zwierzęcia lądowego nie dbając na suszę i palące promienie słońca. Krab jak lokomotywa w podróży niesie z sobą zapas wody i myśli tylko o pożywieniu.

Jest jeszcze ryba szczególna, mająca organizacyą zupełnie podobną do wyżwspomnionych krabów. Nosi nazwę Anabas czyli Suchwy. Ryby te nad skrzelami posiadają także zagłębienie, które służy do zatrzymywania pewnej ilości wody, utrzymującej wilgoć w skrzelach, gdy zwierzę jest na powietrzu, i dosyć w niem długo żyć dozwala. Ryby to wychodzą z rzek i stawów, gdzie zwykle przebywają, i dość daleko załażą czołgając się po trawie i ziemi. Te, w których pomienione zagłębienie labiryntowe jest głębokie i szerokie, nie tylko że bardzo długo bez wody wytrzymać mogą, ale nawet jak mieszkańce zapewniają, wdzierają się na drzewa. Suchwy mieszkają w Indyach, Chinach i na wyspach Moluckich. Jeden gatunek z Chin pochodzący, nazwany Gourami, dla bardzo smacznego mięsa został przyswojony stawom na Isle de France i w Kajennie.

ROCZNICE HISTORYCZNE.

Listopad.

Jestto istny miesiąc żałoby w dziejach naszych.

Nie masz prawdzie takiego miesiąca w roku, któryby nie łączył w sobie żałobnych wspomnień z pamięcią chwil szczęśliwych, ale żaden nie obfituje w rocznice tak ciężkich dla narodu ciosów, jak miesiąc listopad.

Nie obyło się wprawdzie bez kilku wydarzeń, uświetniających nasze dzieje blaskiem bardziej sławy, niż pomyślności, ale i tych znaczenie zostało wielce przytłumione przez smutnej pamięci następstwa.

Mamyż może jeszcze z czasów Piastów zaliczyć do wydarzeń, zwiastujących narodowi wiele pomyślności, że w r. 1103 d. 16 listopada poślubił Bolesław Krzywousty ruską księżniczkę Zbysławę, córkę Świętopełka Kijowskiego?

Ruś Kijowska przyszła pod panowaniem Świętopełka przez zwycięstwo nad Połowcami do znaczenia, i to Wielkie Księstwo było wówczas najpotężniejszem między ruskiemi księstwami. Sąsiedni monarchowie ubiegali się o zawiązanie stosunków z W. K. Kijowskiem. Oprócz Bolesława, *poślubił drugą córkę Świętopełka król Węgierski*

a trzecią cesarzewicz Grecki. Małżeństwo jednakże Bolesława Krzywoustego nie miało znaczenia dla Polski innego, jak tylko zbliżenia się ponownego dwóch bratnich szczepów przez powinowactwo swoich władców.

Nie zapewniło to bynajmniej pokoju Bolesławowi ze strony Rusi. Swary Książąt ruskich zaniepokoiły także i Polskę, gdy Włodzimierz Monomach książę Kijowski (powołany na tron po śmierci teścia Bolesławowego, Świętopełka), pod pozorem ścigania Jarosława, księcia na Włodzimierzu, zbiegłego do Polski, nagromadził na granicach tejże znaczne wojska, a Wołodar książę Przemyski wspierając go wpadł do Polski. Skończyło się to schwytaniem Wołodara przez Piotra Dunina, a w końcu wydaniem więźnia za drogim okupem. Wysłali książęta ruscy wozy i wielbłądy obładowane złotem, srebrem, kosztownemi szatami i naczyniem do Polski, i ślubowali pokój, zaco Wołodar został uwolnionym.

Na dzień *14 listopada* przypada rocznica bezprzykładnego gwałtu, popełnionego w *r. 1228* na *Leszku Białym* w *Gąsawie*, gdzie tenże przez zbuntowanego Świętopełka Pomorskiego zdradliwie zabitym został.

Z następnych lat wypada nam zapisać pamiętny dzień śmierci ostatniego z Piastów, Kazimierza Wielkiego. Jestto dzień *5 listopada 1370*, któręto rocznicę, dziwnem zrządzeniem Opatrzności, obchodziliśmy w 500 lat później powtórnym pogrzebem odszukanych zwłok wielkiego króla.

Do żałobnej rocznicy wygaśnięcia męzkiej linji Piastów z Kazimierzem W. łączy się jedna z najboleśniejszych chwil w dziejach narodu, chwila nieszczęścia, które dotknęło zaraz w drugiem pokoleniu ród królów, co po Piastach zajaśniał najświetniej w dziejach Polski: *ród Jagiellonów*, a z nim całą Polskę.

Dzień 11 listopada 1444 jest ową chwilą w której młody dzielny Władysław Warneńczyk padł ofiarą swojej uległości dla namów nieroztropnego przedstawiciela Stolicy apostolskiej.

Zniweczone zostały przez tę klęskę nadzieje najświetniejsze dla Polski, król dzierżący w swojem ręku berła Polski i Węgier, pogromca nieprzyjaciół Chrześciaństwa, zdawał się doprowadzać Ojczyznę do kresu swego posłannictwa, stania się mocarstwem środkowem Europy, ogniskiem Słowiańszczyzny, przedmurzem Zachodu, dźwignią Wschodu europejskiego.

Legat papiezki skłania króla do złamania przysięgi, a koronny młodzieniec przypłaca niedobrowolną wiarołomność tragiczną śmiercią bohatera i zwichnięciem posłannictwa, jakie Polsce dzieje przekazały.

Wielkiej doniosłości dla Polski, już zstępującej ze szczytów świetności powodzenia, aktem był wybór *Stefana Batorego* na króla, który nastąpił *dnia 7 listopada 1575*. W tym dniu wypada nam święcić rocznicę wstąpienia na tron króla, który gdyby mu Opatrzność była użyczyła dłuższego życia, byłby zwycięzki swój pochód na Moskwę, wstrzymany tylko znowu wskutek zbytniej uległości dla Stolicy apostolskiej, niezawodnie ponowił, a przezto ustaliłby dla Polski stanowisko, jakie jej wedle dziejowych przeznaczeń przekazane jest w Słowiańszczyznie i w całej Europie.

Inaczej się stało.

Nastąpiły niepocieszne rządy *Wazów*, z któremi poczyna się coraz chyższe chylenie się Rzeczypospolitej ku upadkowi.

Pierwszy z nich, Zygmunt III, którego rządy jeszcze dźwigane potężną ręką Zamojskiego pomyślniejszemi były dla kraju, niż król sam chciał i niż je uczynić umiał, rozpoczął panowanie swoje walką o tron z sąsiadami, którzy zdawna kusili się o posiadanie tronu, rokującego dla ich dynastyi wielką przyszłość; gdyby tylko byli umieli uczciwie i rozumnie koło rzeczy chodzić.

Wiadomo, jak potężne stronnictwo posiadał w Polsce Arcyksiążę Maxymilian, kiedy Zamojski torował Zygmuntowi drogę do tronu. Ufny w swoję potęgę Maxymilian chciał zbrojnie zdobyć tron, którego mu dobrowolnie nie dawano.

Na dzień *25 listopada* przypada rocznica stanowczej porażki, jaką zadał Zamojski Arcyksięciu tuż na przedmieściu Krakowa, Biskupiem zwanego, poczem nastąpiła koronacya Zygmunta III. Pomimo tej porażki niespoczął Maxymilian, aż się dostał pod Byczyną w niewolę narodu, nad którym chciał panować.

Wogóle przypadają rocznice obejmowania rządów przez królów z niewróżącego Polsce pomyślności rodu Wazów w listopadzie.

Jak zwycięstwo pod Biskupiem dnia 25 Listopada 1587 upewniło tron Zygmuntowi III, tak przychylny narodowi Polskiemu Władysław IV, którego ojciec za młodu chłostą odstręczał od przyjmowania polskich zwyczajów obrany został królem dnia 8 Listopada 1632.

Atoli ani tego króla dobrych chęci ale słabej woli, ani jeszcze słabszego następcy *Jana Kazimierza* rządy niezdołały wstrzymać poczynającego się upadku Rzeczypospolitej.

Jan Kazimierz ogłoszony został także w listopadzie królem, mianowicie dnia 20 listopada 1648.

Inna rocznica niezbyt wielkiego znaczenia, ale przypominająca nam już coraz większe chylenie się Polski ku rozstrojowi, jest śmierć *króla Michała* która przypadła *dnia 10 listopada 1673 we Lwowie*, po krótkiem, pełnem trosk i umartwień panowaniu, o którem tak trafnie powiedział Krasicki: *że za pokutę królem został!*

Równocześnie, bo 11 listopada 1673, odniósł Jan Sobieski zwycięstwo nad Turkami pod Chocimem. Zwycię-

stwo to ma w dziejach naszych dwojakie znaczenie. Była to pierwsza stanowcza klęska dla Turków, po której nastąpił szereg zwycięztw, aż w końcu ich potęga zupełnie przełamaną została. Sobieskiemu należy się ta chwała, że niebezpieczeństwo przewagi Turków nad światem chrześciańskim zupełnie usunął.

Ale rocznica ta jest i z tego względu w dziejach ważną, że utorowała Sobieskiemu drogę do tronu.

Im bardziej się zbliżał ostateczny rozstrój a w końcu upadek ojczyzny, tem więcej mamy danych o pewnych dniach pamiętnych, w których przypadały zajścia wywierające większy lub mniejszy wpływ na losy ojczyzny.

Tak w zamieszkach, jakie powstały z powodu ubiegania się o tron polski różnych kandydatów po śmierci Sobieskiego, był jednym z uczęstników Książę de Conti, silny ile się zdawało kandydat do tronu. Ale nie sprzyjała mu opinia narodu, i *Książę de Conti*, który chcąc siłą zbrojną osiągnąć tron polski, stanął z eskadrą francuzką na wybrzeżach Gdańska, został przez wojsko polskie w Oliwie odparty tak, iż w sromotnej ucieczce powrócił do Francji.

Stało się to dnia 8 listopada 1697 r.

W dniu *25 listopada 1764* odbyła się koronacya ostatniego króla, Stanisława Augusta, wróżąca Polsce upadek, jestto więc jedna z żałobnych rocznic w naszych dziejach.

Jeszcze gorzej wróżącą jest rocznica uchwalenia przez sejm nanowo *Liberum veto* na żądanie rządów moskiewskiego i pruskiego. Rocznica ta przypada także na dzień *25 listopada*, w którym to dniu r. 1766 zapadła owa zgubna dla Polski uchwała.

Następnie przypadają w tym samym miesiącu rocznice śmiertelnych ciosów Polsce zadanych, tak dzień 3 listopada 1794 zapisany jest w dziejach naszych krwawą pamięcią rzezi na Pradze, 8 listopada 1794 kapitulacyą Warszawy, a dzień 18 listopada 1794 rozpuszczeniem resztek wojska polskiego pod Radoszycami i Końskiem.

Miesiąc Listopad jest więc miesiącem żałoby dla Polski, jest rocznicą ostatecznego upadku naszej Ojczyzny.

W dziejach porozbiorowych przypadają na miesiąc listopad rocznice podźwigów ku wskrzeszeniu ojczyzny.

Nadaje to naszym porozbiorowym dziejom ten pozor, jakoby potomne pokolenia chciały zatrzeć żałobną pamiątkę tych chwil.

Listopad 1806 rozpoczął erę wielkich nadziei dla Polski, którym jednakże polityka niezręczna przywodców narodu nie dała należytego poparcia.

Napoleon, pokonawszy Prusaków i zadawszy państwu Pruskiemu cios śmiertelny, którego wszakże nie wyzyskał ani dla siebie, ani ani dla tych, którymi się opiekował, posuwał się ku Polsce i obudził w Polakach jak największe nadzieje, większe niż należało pokładać było w jego dobrych chęciach, ale raczej we własnych swoich siłach.

Dnia 3 listopada 1806 wydali *Dombrowski i Wybicki* odezwę do narodu wzywając go do powstania, 7 weszły wojska zwycięzkie do Poznania, a gdy równocześnie wojewoda *Radzimiński* wydał wici na pospolite ruszenie chwycili za broń najsędziwsi aż do najmłodszych patryotów. W przeciągu pięciu dni zebrał *Dombrowski* cztery regimenta wojska; powstały *Kalisz*, *Częstochowa*, *Łęczyca*, mieszkańcy rozbrajali wszędzie najezdnicze wojska, znosili garnizony, a Prusacy, tak wojsko jak cywilni, opuszczali jak najspieszniej polską ziemię.

Dnia 27 listopada 1806 odbył Napoleon wjazd tryumfalny do Poznania, tryumfalny nie dla tego, iżby potrzebował zwalczać broniących przystępu nieprzyiaciół, ale przeciwnie, iż po ucieczce Prusaków został powitany przez naród jako zbawca z największym zapałem i oznakami najwyższego uwielbienia.

Otworzyło to nową erę dla Polski, erę *Księstwa Warszawskiego* tego pokurcza politycznego, z którego Napoleon nie chciał a Polacy nie umieli wytworzyć wskrzeszonej Polski w całym jej dawnym obszarze, co jednak nie było bynajmniej niepodobnem.

Z czasów wojen napoleonskich jest niejedna rocznica zwycięztwa lub klęski do nadmienienia, która miała bliski związek z losami naszego narodu, a najznamienitsza między niemi rocznica odwrotu przez *Berezynę*, która dla całej Europy miała stanowcze znaczenie, a która przypada na dzień *26 listopada*, gdyż tego dnia w roku 1812 rozpoczęła się ta wiekopomna przeprawa.

Jednak dla naszego narodu gasną one wszystkie wobec wielkiej rocznicy *29 Listopada 1830*.

My niebędziemy się tu rozwodzić ani nad szczegółami ani nad ogólnym przebiegiem powstania z r. 1830 i 1831, gdyż przekraczałoby to szczupłe ramy, jakie naszej pracy zakreślić musieliśmy.

Nie będziemy się też wdawać w ocenienie uczuciowej strony tej katastrofy, chociaż jestto faktem niedającym się zaprzeczyć, że uczuciowa strona odgrywa w powstaniach i rewolucyach niezmiernie ważną rolę, bo działają tu namiętność i zapał, działa miłość i nienawiść, które są źródłem wszelkich bohaterskich ale zarówno i nikczemnych czynów.

Ale nam nie chodzi o cechę psychologiczną, lecz o tę, która w rozpamiętywaniu dziejów naszych jest najważniejszą, której odsłonięcie celem tych rozpamiętywań, jestto cecha moralna, społeczna i polityczna.

Jakaż była cecha *polityczna* powstania w r. 1831?

Oto że tak w samym narodzie polskim, jak w całej Europie nie wygasło to przeświadczenie, że Polska ma wszelkie prawo do bytu politycznego jako mocarstwo. Skoro

tylko padło hasło w Warszawie, wnet odtętniło ono w najodleglejszych krańcach dawnej Polski, a nawet w obojętnych lub też niechętnych odbudowaniu Polski sercach obudziło się przeświadczenie, że prędzej czy później ona wskrzeszoną będzie, wskrzeszoną być musi i prawnych synów ojczyzny ogarnął zapał do przybliżenia tej chwili, wyrodnych lub obcych a nieprzyjaźnych strach przed ziszczeniem się tego odrodzenia. Tak ów zapał jak ten strach są tylko dowodem, że istnienie Polski uznają w swojem przekonaniu za konieczne.

Toż samo przeświadczenie jest tajemnym motywem zachowania się obcych rządów i narodów względem Polski w czasie powstania i po powstaniu. Sprzyjanie opinii publicznej, niesprzyjanie ze strony Moskwy i Prus i jak najgwałtowniejsze, żadnym środkiem niepogardzające przeciwdziałanie, schlebianie ze strony Austryi nadziejom Polaków, dopóki te nadzieje wydawały się bliskiemi ziszczenia się, a postawienie się po stronie Moskwy i Prus, gdy nadzieja odrodzenia Polski zaczęła się w głąb usuwać: wszystko to jest tylko dalszym dowodem, że nawet rozbiorcze mocarstwa, a tem bardziej inne rządy i narody Europy są przeświadczone o możliwości, owszem dziejowej konieczności wskrzeszenia Polski.

Taką jest cecha powstania w r. 1830 i 1831 pod względem politycznym.

Pod względem społecznym widzimy postęp ten, że kwestya prawnego zrównania wszystkich klas, obdarzenia włościan prawem obywatelstwa stanęła była równocześnie z powstaniem na porządku dziennym, a był to początek społecznego procesu, który się odbywał w łonie narodu i skończył się w roku 1863 *Złotą hramotą*, która zmusiła rząd najezdniczy do wykonania woli narodu i przedsięwzięcia reorganizacyi społecznej.

Pod względem moralnym widzimy jeszcze ten sam brak wytrwałości, ten sam brak szlachetnego uporu, który cechował Polskę w czasie rozbioru, tę samę miękkość charakteru, brak hartu moralnego. Nie można zaprzeczyć, że i w tej mierze widać postęp, a mianowicie należy to przypisać spiskom, że wyrobiły wiele charakterów spiżowych, opierających się wszelkiej chwiejności, zmienności, a trwających niewzruszenie w raz powziętych zasadach. Ale nie ogarnął ten wpływ spisków tak dalece ogółu, ażebyśmy mogli do pięknego świadectwa danego Polakom, że są *narodem bohaterów*, dodać jeszcze i ten, że są narodem niezłomnych charakterów.

Na wszelki więc wypadek rocznica 29 listopada, chociaż nie doczekała drugiej wieńczącej ją szczęśliwym skutkiem, jest rocznicą chluby i sławy dla narodu, rocznicą znamionującą żywotność tego narodu i rękojmią sprawdzenia hasła: „Jeszcze Polska nie zginęła.“

Cmentarz łyczakowski.

Nie znam piękniejszego i bardziej stosownego miejsca na spoczynek dla zmarłych, jak cmentarz łyczakowski, który nie dość, że znajduje się w najcudowniejszem położeniu, wśród falujących ciągle wzgórzy, ale otwiera jeszcze szeroki i piękny widok na otaczające go wokoło wsie i przysiołki.

Z jednej strony, kipiące nieustanne gwarem miasto, z drugiej cichy, sielski żywot wieśniaczych zagród, a w pośrodku tego cmentarz ze swymi krzyżami i wierzbami płaczącemi, — czyż może być coś bardziej skłaniającego duszę do marzeń i nastrajającego serce do podnioślejszej nuty?

Po raz pierwszy zwiedzałem cmentarz w dniu zadusznym — i gdyby nie p. *Ordon*, który pięknym swym wierszem, mającym być również umieszczonym w Strzesze, uprzedził mnie i wyrwał mi prawie to z duszy, co w jego piersi grało — podzieliłbym się z czytelnikiem osobistemi wrażeniami. Ale nie chcę odtwarzać a raczej powtarzać tego, co już raz było powiedziane, — i przechodzę do właściwej treści niniejszego artykułu.

Dając opisowi temu ogólny tytuł „cmentarz łyczakowski“, nie myślałem bynajmniej wdawać się w historyczny i etnograficzny opis miejscowości; jedynem bowiem zadaniem mojem jest zwrócenie uwagi czytających na dzieła artystycznej wartości, które zdobią to miejsce wiecznego spoczynku zmarłych.

Przejdźmyż je po porządku, o ile one zwrócą uwagę naszę, czy to głośniejszem imieniem, zapisanem na zimnem marmurze, — czy też pysznym kolosem, zwracającym nasze oczy na zimne i bez wspomienia imię.

A wam ciche groby, bez krzyża, bez znaku, zapomniane nawet w tym dniu, w którem o najostatniejszym biedaku pamiętają — bez lampki i bez pacierza po zgonie, — wam kryjącym zwłoki zasłużonych krajowi ludzi, o których kraj zapomniał,*) — wam pokornym i upokorzonym: „wieczne odpoczywanie!“

*) Grób Józefa Dzierzkowskiego i wielu innych równych mu zasługą — sterczą bez znaku i często bez krzyża.

Naprzód — zwracam uwagę przechodnia na piękny i pełen prostoty pomnik zacnego dr. Torosiewicza, dłuta rzeźbiarza naszego, Jaskólskiego. Zacny ten opiekun sierot, na którego kamiennem obliczu maluje się taż sama słodycz, która je zdobiła za życia, tuli dwoje dziecinek do piersi. Chłopczykowi, wspartemu poufale na swoich kolanach, pokazuje litery na książce, pierwsze głoski, które go czytać nauczą w wszechświecie, — dziewczynkę objął z miłością w ramiona, jakby jej własnym przykładem chciał wskazać, że pierwszem zadaniem kobiety na świecie jest miłość i zaparcie się siebie.

Mówiąc o tym grobowcu, nie mogę pominąć milczeniem rzewnego zdarzenia, którego świadkiem byłem w dniu zadusznym.

Cały cmentarz płonął jarzącem światłem, a w świetle tem, podług ludowego podania, oczyszczały się dusze zmarłych, skazane na czyścowe męki, — jeden tylko pomnik Dr. Torosiewicza był bez lampki.

Stałem pod nim smutno zadumany, rozmyślając nad niewdzięcznością czy też niepamięcią ludzką dla zasług, które ten filantrop położył, — i jużem był zwątpił, by i na jego grobie jaka życzliwa ręka zatliła światełko, — gdy wtem z tłumu wysunęła się biedna kobieta i z dwóch lampek, które niosła na grób męża czy krewnego, wzięła jednę i postawiła ją na grobie.

— Naści! — rzekła — boś ty po śmierci jest sierotą!

Łzy zakręciły mi się w oczach, i odszedłem do głębi wzruszony.

Lecz nie pora na osobiste wspomnienia, gdyż dużo nam jeszcze zostało do oglądania.

Oto grób Szajnochy!

Na odłamanym obelisku siadł orzeł biały i czujne oko zwraca ku północy, czy ztamtąd zły wiatr jaki nie powieje. W niszy obelisku umieszczono biust ś. p. jenialnego historyka, który nie tylko że znał dzieje, że przejął się ich duchem — ale umiał zapalić miłość dla nich i cześć niepowszednią. Nie był to suchy szperacz, nie był to komentator kronik — ale uczony, z sercem kochającem przeszłość i obdarzonem fantazyą wielkiego poety.

Pomnik ten, na którego pomysł i wykonanie złożyły się pierwszorzędny w kraju naszym talent Filipiego i dłuto Perie'go — jest najpiękniejszą ozdobą cmentarza.

Idźmyż dalej.

W grocie, nad którą wiją się pachnące bluszcze i spadają gałązki płaczącej wierzby, klęczy anioł podtrzymujący główkę dziecięcia. „Zaprawdę, powiadam wam — dziecię nie umarło, ale śpi“ — zda się mówić postać anioła. Ściągnięte trwożliwie brwi i palec na ustach, zdają się mówić do przechodnia: „Nie budźcie go! z tym snem mu dobrze zupełnie.“ O śpij spokojnie — gdyś zasnęło w objęciu takiego anioła stróża! — I ten pomnik (rodziny hr. Miączyńskich), jak wiele innych na cmentarzu, jest dłuta Parysa Filipiego. Jenialne to musi być dłuto, skoro krzesa takie pomysły...

Oko nasze zatrzymują teraz dwa pomniki. Pierwszy, roboty p. Kurzawy, wyobraża postać niewieścią, spoczywającą na trumnie (grób Paparów); drugi, dłuta Markowskiego, przedstawia dwoje nad wyraz miłych dziatek, z ramion krzyża unoszących się ku niebu. Pomnik ten zdobi mogiłkę dzieci hr. Miączyńskich, a jeśliby mu dało się co pod technicznym względem zarzucić — to żadną miarą odmówić mu nie można poezyi.

Pan Filipi ozdobił jeszcze cmentarz pięknym „aniołem pod krzyżem“, pomnikiem Grabińskich, a rzeźbiarz Kurzawa artystyczną robotą grób Zborowskiego.

Oto i wszystko, cośmy zdążyli przebiedz okiem... Czytelnik przekona się łatwo z niniejszego, że i naszemu cmentarzowi niebrak na pięknych ozdobach, — tylko brak na tych, którzyby je odszukać chcieli.

A ornamentyka i rzeźba cmentarna ma swoje osobne znaczenie w dziedzinie sztuki, i warto, aby ktoś z fachowych zajął się jej historycznym opisem.

Lecz trud ten — zostawiamy już innym.

W. Bełza.

GNIAZDO PUSZCZYKA.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Skreślił

MARYAN.

I.

W roku 1858, będąc w Warszawie, zauważałem na jednej z ciasnych i brudnych uliczek ruinę starej kamienicy, przez nikogo już nie zamieszkałej, a która powszechnie zwaną była *Gniazdem puszczyka.* Ciekawy byłem dowiedzieć się, zkąd ta nazwa, i rozpytywałem pilnie mieszkańców sąsiednich, którzy mi następną o tej kamienicy podali opowieść.

* * *

Przed kilkudziesięciu laty, w kamienicy tej, która już i wówczas rozsypywała się w gruzy, mieszkał człowiek, młody jeszcze, ale najokropniejszej używający opinii,

nazwiskiem Paweł Zawilski. Nazwisko to jednak nie wszystkim było wiadome, powszechniej znany był przydomek *Puszczyka*, nadany mu częścią w skutek ogólnej do niego niechęci, a częścią w skutek samotniczego i odludnego życia, jakie prowadził. Fizyonomia jego odpowiadała doskonale nadanej mu nazwie. Mały, dość dobrej tuszy, twarz miał niezmiernie opaloną, smagłą i zarosłą czarną jak węgiel brodą; oczy zapadłe głęboko świeciły jak dwa żarzące węgle z pod gęsto zarośniętych brwi; cały wyraz twarzy ponury, dziki, przypominał istotnie puszczyka.

Kto on był i zkąd przybył, nie wiedziano napewno, głoszono tylko o wielkich kapitałach, jakie posiadał. Przed laty kilku kupił on tę kamienicę przy ulicy Węglanej, zamieszkał w niej samotnie i prócz z lokatorami, których niemiłosiernie obdzierał, z nikim wcale nie miał stosunków.

Taka postać niezwykła swoją oryginalnością, zupełnem osamotnieniem, intrygowała niezmiernie całe sąsiedztwo; dopytywano się pilnie o wszystko, co się tylko tyczyło osoby, zajęć i stosunków tak zwanego Puszczyka, który na to wcale uwagi nie zwracał, jakkolwiek ludzka ciekawość niejednokrotnie dotkliwie uczuć mu się dawała. Zdawał się on jednak pogardzać nią i nie obawiać się jej skutków.

Gdy doszło do uszu jego obelżywe przezwisko, jakie mu nadano, machnął pogardliwie ręką i szepnął:

— Takie lub inne nazwisko, wszystko jedno!... jakieś zawsze być musi... I odtąd sam nawet w stosunkach z lokatorami swymi nieraz nazywał siebie Puszczykiem, i to z miną tak poważną, jak gdyby to było jego właściwe nazwisko, i jak gdyby w niem nic ubliżającego dla siebie nie widział.

Nagle jednak zaszła dziwna zmiana w zwyczajach jego i usposobieniu. Zmianę tę sąsiedzi wnet dostrzegli, a wiadomość o niej lotem błyskawicy przeleciała całą ulicę.

Najprzód zmiana ta rozpoczęła się od restauracyi kamienicy. Zauważano, że p. Puszczyk umawiał się z rzemieślnikami o połatanie dachu, naprawę kominów i pobielenie murów; była to tylko restauracya zewnętrzna, ale zawsze wymagająca znacznych wydatków, których, jak było powszechnie wiadomo, p. Puszczyk ogromnie nie lubił i wszelkiemi siłami unikał.

— Nie bez powodu to czyni... mówili sąsiedzi. — Coś być musi w tem ważnego, kiedy się zdecydował na naprawę kamienicy. Czekajmy a zobaczymy...

I sąsiedzi się nie zawiedli.

Nie długo czekając zobaczyli, że codziennie prawie p. Puszczyk, ubrany porządniej niż zwykle, o godzinie ósmej wieczorem wchodził do kamienicy położonej w sąsiedztwie, i ztamtąd dopiero poźno w nocy powracał.

Jaki był cel tych wizyt codziennych, nie trudno się było dopytać. Wszak w Warszawie jak i w każdem innem mieście mieszkańcy jednej ulicy znają się doskonale i o swoich stosunkach, zamiarach, wadach lub przymiotach wiedzą wzajemnie.

Niebawem też nie było dla nikogo tajemnicą, że p. Puszczyk stara się o córkę właściciela kamienicy sąsiedniej, pannę Zenobią Milskę, uważaną w całej tej części miasta za partyą pierwszorzędną. Krzyk wielki podniesiono... najgłośniej wołali zawiedzeni w nadziejach swoich młodzi kawalerowie, którym się posag panny Zenobii wielce podobał, a mamy ich, ciocie i babunie oburzone nie mogły pojąć, jak taki p. Puszczyk mógł być przyjęty...

A jednak nie tylko mógł ale został przyjęty. Dla czego? nie wiemy. Mówiono, że rodzice, a zwłaszcza ojciec panny Zenobii zmusił ją do przyjęcia Puszczyka ze względu na domniemany olbrzymi jego majątek w kapitałach.

Bądź co bądź panna Zenobia Milska została panią Puszczykową. Jakie było ich pożycie z początku, niewiadomo; przenikały wprawdzie głuche wieści, niekorzystne dla młodego małżonka, ale te były niepewne i nie zawsze prawdopodobne, które też tylko przelotne wywierały wrażenie. Wiadomem tylko było powszechnie, że między ojcem p. Puszczykowej, panem Januarym Milskim, i zięciem jego zaszły nieporozumienia w skutek interesów majątkowych, i to tak silne, że wszelkie nawet stosunki pomiędzy nimi zostały zerwane. Pani Puszczykowa przestała całkiem bywać u ojca, i odtąd sąsiedzi nawet w oknie widzieć jej nie mogli. Nie pokazywała się nigdzie, nie bywała u nikogo, i nikt u nich nie bywał, i byłaby może pamięć o niej jeszcze za życia zaginęła zupełnie, gdyby nie wypadek, który zrobił z niej znowu przedmiot rozmów na długo. Rozeszła się wieść o śmierci pana Milskiego, o przedaży jego kamienicy z licytacyi publicznej i o tem, że tę kamienicę wraz z całym majątkiem Milskich nabył za liche pieniądze Zawilski.

Dla tych którzy wiedzieli o majątku Milskiego i wyobrażali sobie posag panny Zenobii w olbrzymich rozmiarach, była to rzecz nie do pojęcia. Zaczęto mówić, że Milski przegrał jakiś proces, że w skutek niego popadł w długi, że Puszczyk wszystkie weksle u jego wierzycieli zakupił i tak manewrował, że majątek Milskiego wystawiony został na sprzedaż publiczną i dostał się w ręce Puszczyka. Ten wypadek, a zwłaszcza śmierć Milskiego w najokropniejszej nędzy i opuszczeniu zohydziła jeszcze gorzej Zawilskiego w opinii publicznej, że już mu nawet o lokatorów było coraz trudniej.

II.

Rok 1831. stanowczo rozpoczął szereg lat ciężkich, boleśnych a krwawych. Nie było prawie serca, któregoby nie dotknął, nie było człowieka w całej Polsce, na którego by nie wywarł wrażenia. Tylko że, jak to zwykle bywa, jedni widzieli w nim porę do poświęcenia i ofiary

szczytnej, gorącej, z zupełnem zaparciem się siebie, drudzy przyklaskiwali tym poświęceniom, widząc w nich dobre dla siebie pole do uzyskania stanowiska i zaspokojenia palącej ambicyi, inni wreszcie spodziewali się w tem zamęcie, nie tracąc nic zgoła, wszystko dla siebie uzyskać za pomocą zdrady i intrygi.

Do tych ostatnich należał p. Puszczyk. Od pierwszych czasów powstania zaczęto mówić już o nim jako o człowieku, który się rządowi zaprzedał na ziomków swych szkodę. Wkrótce też przekonano się, że tak było istotnie. Złowrogie mundury i czapki z tak zwanemi grzybkami, ukazywały się coraz częściej na dziedzińcu kamienicy p. Puszczyka, która widocznie ożywiać się poczynała. Widziano nieraz samego gospodarza, jak ze znanemi rządowemi figurami przemykał się poźnym wieczorem ulicą, dążąc do swego mieszkania, a lokatorowie w kamienicy jego widzieli nieraz w poźną noc palące się w jego oknach światło, i domyślali się, że tam prowadzą się ważne narady i uchwalają postanowienia co do węwnętrznego bezpieczeństwa miasta, nazajutrz z całą surowością spełniane.

I nie mylili się w swoich domysłach.

Kamienica p. Puszczyka od samego początku powstania stała się miejscem ciągłych obrad policyi, do której gospodarz jako tajny członek został przyjęty.

O godzinie jedenastej z wieczora rozpoczynały się konferencye, które niejednokrotnie do samego dnia trwały. Ponieważ mieszkanie gospodarza było nadto szczupłe, wyrugowano kilku lokatorów i urządzono się wygodnie, z całą ostrożnością postępując, aby przed czasem nie zdradzić tajemnicy gospodarza i nie narazić się na niebezpieczeństwo. Tajemnica ta jednak rychło przeniknięta została, i bacznie śledzono każdy krok p. Pawła, który teraz tem stosowniej mógł być nazwany puszczykiem, że gdzie się tylko pokazał, był niezawodnym zwiastunem rychłego przybycia policyi, aresztowań i nieszczęść.

Pewnej nocy około godziny pierwszej, w znanej nam kamienicy na drugiem piętrze, w wielkiej sklepionej sali, przy dużym okrągłym stole zarzuconym bezładnie papierami, siedziało kilku mężczyzn, a pomiędzy nimi p. Puszczyk.

W całem tem towarzystwie ponure panowało milczenie. Wszyscy pochylili głowy jakby w głębokim namyśle, tylko gospodarz od czasu do czasu rzucał się niespokojnie na krześle i mruczał z gniewem jakieś wyrazy, których dosłyszeć było trudno.

— To niepodobna! — zawołał wreszcie — ja pracuję jak wół, oddaje wam całe dni i noce, nie szczędzę niczego, nawet kosztów, a za to nie mam nic, chyba pogardę sąsiadów....

— Nie wiele miałeś u nich i przed tem szacunku... przerwał mu jeden z obradujących.

— Szacunku ich nie potrzebowałem nigdy, pogarda nic mi nie szkodzi, ale spodziewałem się, że przecież jakąś nagrodę otrzymam... że usługi, które oddałem sprawie, nie zostaną bez uznania.

— Cierpliwości! panie Pawle, cierpliwości! — zawołało kilka głosów.

— Cierpliwości? zawsze jedno i to samo od pół roku powtarzacie, abym miał cierpliwość; a co mi po niej, kiedy im więcej czasu upływa, tem mniej prawdopodobieństwa, że otrzymam to, czego się od tak dawna napróżno domagam. Wszak mię zapewniałeś, panie Iwanow, że Wojna będzie aresztowany jeszcze przed dwoma miesięcami, ale dotychczas skutku przyrzeczenia nie ma...

— Ja panu powiem szczerze, panie Pawle — odrzekł zagadnięty — sprawa Wojny nie jest do urzeczywistnienia, na nim nic się nie pokazało, i zdaje się, że już się nie nie pokaże. Chciałem szczerze, ale...

Puszczyk porwał się z krzesła.

— Ale — przerwał gwałtownie — wziąłeś dwa tysiące rubli od Wojny i ubiłeś sprawę, zniszczyłeś dowody, jakie miałeś w ręku przeciwko niemu, i powiedziałeś sobie, że więcej nic zrobić nie można...

Iwanow na zarzut przekupstwa zbladł, zmieszał się i nic nie odpowiadał.

— Taka to wasza wierność! — wołał gniewnie Puszczyk — jabym was wszystkich zakuł w kajdany i wraz z miateżnikami w Sybir posłał! Wy nie chcecie mi dopomódz, ale ja wam pokażę, jak się mścić potrafię. Na was wszystkich mam dowody, na was wszystkich, jak tu jesteście... Ty, Iwanow, wziąłeś pieniądze od Wojny; ty, Samowski, od Zwolińskiego; ty, Czortkow, od Chwaliboga; każdy z was dał się przekupić, ale ja temu koniec położę...

Całe towarzystwo osłupiało z przerażenia. Nikt się nie domyślał, że Puszczyk szpiegując Polaków, śledzi także bacznie postępowanie współkolegów swoich; nie można było jednak powątpiewać, że tak było istotnie, i że on na poparcie słów swoich ma silne w ręku dowody, bo pewność, z jaką mówił o tem, nie pozostawiała w tym względzie żadnej wątpliwości.

— Nie ma się o co gniewać — po chwili przykrego milczenia odezwał się Czortkow — może się wszystko da jeszcze naprawić. Iwanow obiecał, to i dotrzymać musi.

— Jabym chciał serdecznie — odrzekł Iwanów — ale z Wojną sprawa trudna...

— Nie tak bardzo trudna — przerwał niecierpliwie Puszczyk — skoro dwa tysiące rubli dał ci od razu, nie licząc tego, co dawał pisarzom, kancelistom i różnym policyjnym urzędnikom.

Iwanow niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Kto tam wie, ile dawał i komu; ja się w to nie mieszam... mnie nic do tego... Prosiłeś, abym Wojnę are-

sztował i tak sprawę prowadził, by majątek jego wystawiono na sprzedaż publiczną; ja ci się szczerze przyznam, że nie rozumiejąc powodów tego żądania i sądząc, że to jakaś osobista zemsta, niezbyt ochotnie przystałem na to, aby być jej narzędziem... jedynie dla przyjaźni...

— Nie kłamałbyś przynajmniej! — krzyknął Puszczyk — co ci do tego, jakie mnie powody skłaniają do prześladowania Wojny? Ja ci tylko święcie przyrzekam, że jeżeli do miesiąca Wojna nie będzie siedział w więzieniu, wydam was wszystkich w ręce sprawiedliwości za to, żeście się dali przekupić. Sam zaś potrafię dać radę Wojnie, mam w ręku papiéry, które go mogą skompromitować, a chociaż nie odniosą może tak szybkiego skutku, jak te, które ty miałeś w ręku, to jednakże w dzisiejszym stanie rzeczy wystarczyć mogą. Jeżeli zaś przyrzekniesz mi swoję pomoc i uzyskasz to, że za miesiąc z Wojną będzie wszystko skończone, nie tylko zapomnę o tem, coście zawinili, ale każdy z was po ukończeniu sprawy dostanie do ręki po tysiąc rubli; Iwanow jako najczynniejszy dostanie dwa, na co się pisemnie zobowiązać mogę...

— O! któż żąda takich formalności! — jednogłośnie zawołało szanowne grono — między uczciwymi ludźmi słowo starczy za dokument.

— Więc mi przyrzekacie pomoc waszę? — zapytał Puszczyk, którego ponure dotąd oblicze nagle rozpromieniać się poczęło...

— Przyrzekamy! — jednogłośnie znów odrzekli wszyscy.

— Więc za miesiąc Wojna będzie osądzony na wieczne wygnanie na Sybir, a majątek jego cały sprzedany z licytacyi publicznej?

— Będzie niezawodnie! — brzmiała odpowiedź.

— Więc dobrze! — zawołał uradowany Puszczyk — cieszę się, żeście w końcu pojęli moje dobre względem was zamiary. Teraz już dzień świta, więc pójdziemy na spoczynek; jutro o téj samej porze znów się tu zejdziemy.

I po serdecznych uściśnieniach, powtórzonych raz jeszcze obietnicach wzajemnych, wypróżniła się sala obrad, — goście p. Puszczyka powoli, zcicha na palcach wysunęli się z kamienicy, i po pod murami się kryjąc, zniknęli wkrótce z oczu gospodarza, który przez okno pilnie ich śledził wśród ciemnej i pustej ulicy.

Gdy wszelki szmer ustał, Puszczyk oddalił się od okna i powolnym krokiem począł się przechadzać po sali. Snać był kontent z rezultatu obrad, bo ręce zacierał z zadowoleniem i uśmiechał się sam do siebie od czasu do czasu, powtarzając z naciskiem wyraz:

— Nareszcie!

W tem rozpromienione jego czoło gniewnie się nagle zmarszczyło i wzrok wyiskrzony zwrócił się ku drzwiom, do których ktoś zlekka bojaźliwie zapukał.

Niebawem otwarły się drzwi, a w nich ukazała się kobieta. Blada była jak trup, szkielet raczej chodzący niż ludzka postać; postąpiła krok naprzód, zachwiała się i oparła o mur, wyschłe kościste ręce wyciągając przed siebie.

Puszczyk rzucił się ku niéj, i piorunującym przeszywając ją wzrokiem, gniewnie zapytał.

— Czego tu chcesz?

Kobieta chciała odpowiedzieć, ale słów wydobyć nie mogła... jakieś tylko łkania i jęk chrapliwy wydostał się z piersi.

— Zlituj się!.. przemówiła nareszcie, padając na kolana.

— Kto ci pozwolił tu wchodzić? — krzyknął Puszczyk, nie zważając na błaganie klęczącej przed nim kobiety... Jak śmiałaś przekraczać mój rozkaz... Ty może słyszałaś, cośmy tu mówili? może podsłuchiwałaś pod drzwiami? Mów, słyszałaś!..

I porwał ją za rękę, wlokąc po ziemi przysunął do jedynej lampki, która słabe, migocące światło rzucała na okopcone mury olbrzymiej sali, i wzrok dziki, roziskrzony, szatański utkwił w wybladłej twarzy kobiety, jakby chciał wyczytać prawdziwą odpowiedź na swoje pytanie.

— Słyszałaś, cośmy mówili?.. powtarzał.

— Puść mię... a powiem... powiem prawdę! — szepnęła nieszczęsna.

Puszczyk puścił ją wolno i parę kroków odstąpił.

— Mów — zawołał — tylko prawdę, bo strzeż się inaczej!..

Kobiéta podniosła głowę i po chwili milczenia cichym urywanym, gasnącym głosem mówiła:

— Gróźb się już twoich nie lękam. Przecierpiałam wszystko, com przecierpieć mogła, co tylko mógł człowiek przecierpieć... dziś widzę już koniec moich nieszczęść — stojąc nad grobem, urągam gniewowi twemu i groźbom. Gorszego nic uczynić mi już nie możesz, jak to, co uczyniłeś. Więc się ciebie nie boję. Przed laty dziesięciu, kiedyś mię z domu ojca wziął młodą, życia nieświadomą, i od razu skazał na życie gorzej niż więzienne, wówczas płakałam gorzko nad młodością swoją, płakałam za niespełnionemi jéj marzeniami, bolałam wszystkiemi duszy uczuciami nad utraconym skarbem jedynym, jaki posiadałam w życiu, nad utraconém szczęściem, które zobaczyłam zdala na to tylko, aby po niém całe życie ciężką nosić żałobę. Ty wiesz... kochałam Stefana Wojnę całą duszą, całem sercem, całą potęgą pierwszej miłości; pomimo niechęci ojca uzyskałam już była jego zezwolenie, i droga mego życia zdała mi się jasną, czystą, bez chmurki....

— Po co ta długa historya — przerwał Puszczyk — przeszłości wrócić niepodobna; odpowiedz na moje pytanie, a potem...

— Nie! — z mocą zawołała kobieta, powstając z ziemi i



PRZEJAZDKA PO WIŚLE.

(Obacz wiersz na stron. 370)

zbliżając się do niego — nie! raz przecież prawdę usłyszeć musisz, raz pierwszy i ostatni wypowiem ci wszystko!...

Puszczyk nie chcąc więcej drażnić chorej widocznie kobiety, znużony zresztą rozmaitemi wzruszeniami, jakich w przeciągu kilku godzin doznał, a może z innej jeszcze, niewiadomej przyczyny odrzekł spokojniej:

— Mnie to wszystko jedno... mów, jeśli chcesz.

I usiadłszy w wielkim fotelu, głowę sparł na poręczy i słuchał w milczeniu.

Kobieta mówiła dalej:

— Raz więc w życiu zamarzyłam o szczęściu, i gdyby nie ty, byłabym je posiadła... Ale Bóg chciał ciężko mnie doświadczyć i ciebie zesłał, abyś omamiwszy ojca mego olbrzymiemi skarbami swemi, wydarł mi od razu wszystkie nadzieje. Zostałam twoją żoną... zostałam nią z musu, prowadzona do ołtarza twoją barbarzyńską ręką i żelazną wolą ojca, który nie domyślał się nawet, jakiemu potworowi swoję córkę oddaje. Przekonał się o tem rychło, gdy przyszło do spełnienia obietnic, jakie mu uczyniłeś. Przekonał się o tem, gdy żądając od ciebie pożyczki dla uspokojenia wierzycieli swoich, dowiedział się ze zdumieniem, że ty wszystkie jego weksle kupiłeś na to tylko, aby kamienicę jego i cały majątek za bezcen na licytacyi nabyć. I tak się stało. Biedny mój ojciec wypędzony z domu, pozbawiony wszystkiego, co posiadał, nie mógł przeżyć tej klęski i umarł opuszczony, samotny, w okropnej nędzy, nadarmo przywołując córkę, którą ty trzymałeś umyślnie w zamknięciu, aby jej nie dopuścić do ojca... Zostałam w takiem okropnem sieroctwie, o jakiem świat nawet nie ma pojęcia. Po śmierci ojca, którą mi zwiastowałeś z szatańskim uśmiechem, mogłam powiedzieć bez przesady, że na całej ziemi nie mam zupełnie nikogo!...

— Przecież miałaś męża... śmiejąc się przerwał jej Puszczyk.

— Od lat dziesięciu — mówiła dalej Zenobia nie zważając na przerwę — nie wychodziłam poza obręb tych murów strasznych, zapomniałam, jak świat wygląda i jak wyglądają ludzie.

— Tak zwykle bywa w miodowych miesiącach... mruknął żartobliwie Puszczyk, który widocznie w dobry humor wpadał.

— Nie będę opowiadać wszystkich męczarń, jakie przebyłam, bo mi spieszno do końca. Za chwilę może głosu i tchu w piersiach mi zabraknie. Więc powiem krótko: jedyną moją pociechą była myśl, że z każdym dniem, z chwilą każdą życia mi ubywa, i że męki wyczerpują powoli ale skutecznie całą fizyczną mą siłę. I w miarę tego przybywało mi odwagi. Dziś nareszcie w nocy czując, że się moja śmierć zbliża, stałam się nagle tak odważną, że domyślając się spisków, jakie tu knujecie, pomimo najsurowszego zakazu twego stałam tu cały czas pod drzwiami i słyszałam — wszystko!...

Puszczyk porwał się z miejsca.

— Słyszałaś! — krzyknął, zaciśniętą pięść podnosząc nad głowę kobiety.

— Słyszałam — odrzekła z mocą — i pomimo szatańskich środków, jakich używasz dla zgubienia Wojny, ja go ocalę!

Puszczyk jak piorunem rażony stał nieruchomo w zdumieniu przed tą nagle obudzoną energią kobiety, która dotąd niewolniczo wszystkim jego poddawała się rozkazom.

— Ocalę go! — mówiła ona—a jednak wahałam się długo, wahałam się dla tego, że pomimo wszystkiego, com przebyła dzięki tobie, wzdrygałam się na myśl, iż ocalając Wojnę zgubię ciebie, oddam cię w ręce sprawiedliwości...

— W ręce sprawiedliwości... przebąknął Puszczyk, blednąc nagle — co chcesz przez to powiedzieć?

— Zapomniałeś o tem, że pomimo wszelkich środków ostrożności wszystkie twoje sprawy nie mogły mi być obce, że przed okiem osoby, mieszkającej z tobą pod jednym dachem, ukryć się trudno. Wiem też o źródle twego majątku, twoich olbrzymich kapitałów; znam ową podziemną kryjówkę, gdzie całe noce spędzasz zwykle na fałszowaniu banknotów.

Jak trup blady, z zaciśniętemi wargami, z oczami wytrzeszczonemi bezmyślnie przed siebie, słuchał Puszczyk tego okropnego oskarzenia, nie mogąc słowa przemówić.

— Jestem zgubiony! — szepnął po chwili, spuszczając głowę na piersi i w bezsilnym gniewie rzucając się na fotel.

— Tak, jesteś zgubiony... bo dowody, to jest kilka fałszowanych banknotów i szczegółowy opis ich podziemnej fabryki, odesłałam przed chwilą człowiekowi, który z nich zrobi natychmiast użytek, jeślibyś tylko chciał swojej zemsty na Wojnie dokonać. Jeżeli zaś zamiarów swoich odstąpisz, cała sprawa puszczoną będzie w niepamięć.

Puszczyk nieśmiały, bojaźliwy wzrok podniósł na żonę.

— I w takim razie dowody powrócą do mnie?

— Nigdy! dowody nie powrócą już do ciebie; pozostaną one jako środek zapobiegający na przyszłość...

Puszczyk rzucił się konwulsyjnie. Lecz nagle dziwna zmiana w nim zaszła, i twarz, zmarszczona ponuro, w jednej rozpromieniała chwili, a wzrok błysnął jakąś radośną nadzieją.

— Zenobio — przemówił — wyznaję, żem nie zawsze postępował z tobą, jak postępować należało, ale jednakże nie sądzę, abyś była zdolną mnie zgubić dla jakiejś próżnej obawy. Przyrzekam ci, że Wojnie nic się złego nie stanie. Pomimo wielkich a nienagrodzonych krzywd, jakich od niego doznałem, zapomnę o wszystkiem, zapomnę nawet o tem, że nie spełnił testamentu ojca i mnie jako ciotecznemu bratu swemu nie wypłacił tego, co mi się prawnie należało.

— Kłamiesz! — zawołała kobieta - - tyś mu wydarł wszystko, co się tylko wydrzeć dało, i gdyby nie sukcesya po ciotce, Wojna byłby w nędzy.

— Nie wierz, jak ci się podoba; ale mówię szczerą prawdę. Mam wiele jeszcze innych powodów do nienawidzenia i prześladowania tego człowieka, ale powtarzam, zapomnę o wszystkiem i rozpoczętą sprawę porzucę. Tylko mi oddaj dowody, które tajemnie posiadłaś...

— Dowodów tych za nic ci nie zwrócę; są one jedyną rękojmą, że po mojej śmierci słowa swego nie złamiesz.

Puszczyk groźnie ku niej przystąpił.

— Strzeż się! abyś nie przebrała miarki... pamiętaj, że między tobą a mną jest węzeł, którego stargać nie potrafisz, a który cię przykuwa do mnie na wieki. Pamiętaj, że jesteś matką, że twój syn, oddalony ztąd na gorące prośby twoje i wychowywany za domem, może tu przybyć w tej chwili i stanie w obronie ojca przeciwko tobie, i będzie się domagać tego, czego ja żądam napróżno.

Zenobia na wspomnienie syna załamała ręce z rozpaczą, i jakby cała siła, która ją podtrzymywała dotychczas, opuściła ją nagle, z jękiem na kolana upadła.

— Boże, zlituj się nad dzieckiem mojem! nie dopuść, aby występki ojca skaziły tę duszę niewinną.

To były ostatnie słowa, jakie wyrzekła nieszczęśliwa matka; podniosła się raz jeszcze na klęczkach, załamane ręce wyciągnęła ku mężowi, i po chwili bezsilnie osunęła się na ziemię.

Puszczyk przerażony pochylił się nad nią, przykląkł, chciał ją podnieść, lecz za chwilę krzyknął przeraźliwie.

— Umarła! — zawołał — nie ma już nadziei!

I jak szalony przebiegał pokój łamiąc ręce z rozpaczy.

— Umarła.. powtarzał—pozostawiając mię w śmiertelnym niepokoju na łasce nieznanego mi człowieka, którego nawet odnaleźć nie potrafię... Zenobio! Zenobio!... wołał w przystępie szaleństwa, szarpiąc zmarłą za rękę. Ale odpowiedzi się nie doczekał, i pierwszy promień słońca oświeciwszy salę ukazał mu wyraźniej piętno śmierci na zsiniałej twarzy Zenobii wyryte.

W parę dni potem sąsiedzi jego ujrzeli ze zdumieniem, jak wynoszono białą trumnę z kamienicy Puszczyka, i z politowaniem kiwali głowami.

— Biedna kobieta! odpocznie nareszcie! — mówili. I głucha wieść rozeszła się po mieście, że Puszczyk żonę zamordował.

III.

Modlitwa nieszczęśliwej matki nie mogła pozostać bez skutku. Młody Ireneusz Zawilski, pod opieką mieszkającej w Warszawie zacnej krewnej swojej matki, rósł w zupełnej niewiadomości występków ojca. Dziwiło go to wprawdzie niezmiernie, że z rodzicami żadnych prawie nie miał stosunków, serce jego rwało się nieraz do serca matki, ale od jej śmierci, którą mocno uczuł, stracił pociąg do rodzicielskiego domu, bo instynktem czuł wstręt jakiś do ojca i niezwyciężoną przed nim obawę. Gdy doszedł do lat, w których pora było rozpocząć nauki, opiekunka jego wymogła na ojcu, że Ireneusz w Warszawie nauk odbywać nie będzie, lecz w innem oddalonem gimnazyum, aby się nie mógł tak rychło dowiedzieć o haniebnej roli, jaką ojciec jego rodzony odgrywał w tym czasie. W Warszawie znano doskonale Puszczyka, i pierwszy lepszy kolega szkolny mógł odkryć zawcześnie hańbiącą tajemnicę, która na umysł młodociany najokropniej oddziałaćby mogła.

Puszczyk nie opierał się temu wcale, bo w jego zepsutej duszy nie było miejsca na czyste i święte rodzicielskie uczucie; on syna wcale nie kochał i rad był z tego, że kto inny trudni się jego wychowaniem i wszystkie koszta przyjmuje na siebie. Zgodził się więc bez trudności, aby Ireneusz wraz z ciotką wyjechał z Warszawy do Żytomierza.

Minęło lat wiele. Czas przyniósł z sobą rozmaite zmiany, zatarł nieco dawne nieszczęścia, a sprowadził nowe, i na Puszczyku nawet, który się długo jego działaniu opierał, widoczne zostawił ślady. Zgrzybiały, chory, zgnębiony, Puszczyk narzekał boleśnie na życie, które go opuścić nie chciało; dawne występki coraz straszniejszemi widmami stawały mu w pamięci, odbierając sen w nocy, zatruwając każdą dnia chwilę. Jedyną jego rozrywką było dochodzenie spraw zawiłych, bo wnet po powstaniu 1831 r. Puszczyk został jawnym urzędnikiem policyi i sędzią śledczym, który to urząd ku zupełnemu zadowoleniu rządu do śmierci piastował. Nawet kiedy wiek odebrał mu dawną energią i siłę, nie usunął się od urzędu, a chociaż sam nie był już tak czynny, jednakże w niektórych trudniejszych sprawach służył zawsze radą i długoletniem doświadczeniem. Gdy jaką kryminalną a zawiłą sprawę miał do przeprowadzenia, był wtedy najszczęśliwszy, bo tak się nią zajmował serdecznie, że o całej przeszłości i wszystkich wypadkach dawnych zapominał. Jednakże miewał chwile okropne. Samotny w opustoszałych murach walącej się kamienicy, w której nikt już mieszkać nie chciał, w ciągłej trwodze o skarby swoje, w ciągłej obawie śmierci, której jednak już nieraz przyzywał, wśród strasznych wyrzutów sumienia wlókł nędzny żywot w powszechnej pogardzie.

W pierwszych latach po śmierci żony zajęty był wyszukaniem tego człowieka, któremu Zenobia powierzyła kompromitujące go papiery, lecz wszystkie usiłowania były nadaremne. W obawie straszliwych skutków wykrycia fałszerstwa, którego się dopuścił, musiał odstąpić od zamiaru prześladowania Wojny, który temu tylko mógł zawdzięczyć swoje ocalenie. Myśl jednak o tem przymuszonem przebaczeniu dawnych a wciąż jątrzących się

uraz, była mu nieznośną; na wspomnienie o tem rzucał się w gniewie tem straszniejszym, że nie widział sposobu zadośćuczynienia jemu.

Rzecz jednak dziwna. Nigdy przedtem nie myślał o synu swoim; przez lat wiele nie miał wcale żadnych wiadomości i zdawał się ich nie pragnąć, lecz gdy wiek odebrał mu siłę, a choroba zwątliła energią, Puszczyk niejednokrotnie myślą zwracał się ku synowi i czuł, że byłby jeszcze szczęśliwy, gdyby mógł go mieć przy sobie.

Zapomniałbym o wszystkiem — mówił nieraz sam do siebie myśląc o tem — gdybym go miał przy sobie; kto wié, jaka zmiana mogłaby zajść u mnie, kto wié, czybym na starość nie stał się jeszcze tem, czem być chciałem w najwcześniejszej młodości mojej...

Ale na poprawę, o której poczynał myśleć p. Puszczyk, było już snać zapóźno; złorzeczenia tylu ludzi zgubionych przez niego broniły wstępu do serca dobrym postanowieniom, które przemijały rychło i bez skutku.

Rok 1863 zastał jeszcze p. Puszczyka przy życiu, i rzecz dziwna, jakby nową natchnął go siłą. Czy w skutek żywego przypomnienia młodości, czy z powodu wrażenia, jakie zawsze chwila taka wywiera, ocknął się zgrzybiały starzec z otrętwienia, jakie go było opanowało, i począł się znów krzątać tak samo i działać jak w 31 roku. Owa sala, w której byliśmy świadkami strasznej sceny między nim a żoną, stała się znowu punktem zbornym policyi i rozmaitych urzędowych figur, którym z całą gorliwością przewodniczył w pracy niezmordowany pan Puszczyk.

Pewnego razu do tej sali w chwili bardzo ożywionej konferencyi wpadł młody urzędnik sądowy, i zbliżając się do p. Puszczyka, oznajmił mu, że prezes sądu prosi go, by jeśli może, natychmiast przybył do sali sądowej.

Zdziwiło to mocno p. Puszczyka, bo z prezesem w najgorszych zostawał stosunkach, i ten go nigdy do żadnej sprawy nie chciał używać; przeczuwając więc coś nadzwyczajnego, natychmiast pospieszył za posłańcem pomimo pory bardzo już spóźnionej.

Przybywszy do sali sądowéj spotkał u wejścia samego prezesa, który go nadspodziewanie czule pozdrowił, i posadziwszy na krześle obok siebie, zapytał.

— Czy p. sędzia miałeś syna?

Na te słowa Puszczyk zadrżał jakby piorunem rażony, i dopiero po chwili był w stanie przemówić.

— Czego pan prezes pyta mię o to?

— Wiadomość, ta jest niesłychanie ważną dla sądu. Człowiek tego samego, co pan, nazwiska, Zawilski, dowodził znacznym oddziałem powstańców na Wołyniu i odznaczał się odwagą i szaloném męztwem; z dniem każdym stawał się coraz niebespieczniejszym a nawet groźnym dla rządu z powodu wpływu, jaki miał pomiędzy tamtejszą młodzieżą. Pojmany wreszcie i stawiony przed sądem w Żytomierzu wyznał, że jest rodem z Warszawy. Jak panu wiadomo, sędzią śledczym w Żytomierzu jest znany panu, Iwanow. Ten więc dowiedziawszy się o miejscu, zkąd pochodził Zawilski, kazał go odesłać do Warszawy z poleceniem, aby co do sprawy tego człowieka udać się do pana...

— Rozumiem... rozumiem... szeptał Puszczyk nieprzytomny prawie — Iwanow umyślnie to zrobił... Panie prezesie, jakie imię nosi ten młodzieniec? — drżącym głosem spytał zwracając się ku przewodniczącemu.

Pan prezes zaczął przerzucać papiery leżące na stole, szukając pomiędzy niemi sprawy Zawilskiego.

— Zaraz panu powiem... Jan Zawilski... a, nie... Ireneusz Zawilski, urodzony w 1840 roku w Warszawie...

— To mój syn! — rozpaczliwie zawołał starzec.

W tej chwili otwarły się drzwi od sali sądowej, i dwóch uzbrojonych żandarmów wprowadziło więźnia.

Był nim dorodny młodzieniec, mogący mieć zaledwie lat dwadzieścia kilka; na jego szlachetnej i pięknej twarzy znać było wzruszenie, bo przed chwilą na korytarzu więziennym pożegnał się z towarzyszami swymi zapewnie na zawsze. Za nierozmyślne ale szlachetne uniesienie ręka wroga rozpędziła ich po pustyni Sybirskiej, odrywając od rodziny, przyjaciół i ziemi ojczystej!

W pierwszej chwili powstania wyroki zapadały natychmiast; sąd trwał kilka godzin zaledwie, a kibitka czekała już u drzwi sądowych, by skazanych ponieść daleko od swoich tam — zkąd rzadko kto wracał...

Ireneusz stanął przed sądem; w milczeniu przyjął wyrok, skazujący go na wieczne czasy do ciężkich robót w Syberyi...

Głucha cisza zaległa salę sądową... słychać było tylko przyspieszony oddech nieszczęśliwego starca, który siedział bez ruchu i czucia, z sztywnym wzrokiem utkwiony w syna, dla którego nie widział ratunku.

Sąd naradzał się jeszcze pocichu, i chociaż wyrok odczytany już został, rozkazano więźnia zatrzymać, i prezes w te się do niego odezwał słowa:

— Najjaśniejszy monarcha, w imieniu którego ogłosiliśmy wyrok, nie pragnie nieszczęścia swoich poddanych, żąda tylko pokory i szczerego wyznania swych błędów, a wzamian obiecuje przebaczenie i łaskę. Skazany pan zostałeś na Sybir... wiesz zapewne, co to znaczy...

Tu prezes, znany z okrucieństwa swego, utkwił ponury i dziki wzrok w oblicze młodzieńca, i przystępując do niego, z lisią czułością, mówił dalej:

— Czekają cię straszne męki... sąd lituje się nad młodością twoją i obiecuje ci święcie przebaczenie winy, jeżeli się zgodzisz na wymienienie nazwisk tych, którzy cię wcią-

gnęli do występnego powstania przeciw Najmiłościwszemu Panu.

Ireneusz pogardliwie spojrzał na mówiącego i milczał.

Prezes mówił dalej po chwili.

— Sąd nie wątpi, że się zastanowisz i sam nad sobą będziesz miał litość... tembardziej, że zaciętem milczeniem swojem i uporem ranisz boleśnie serce, które dla ciebie tylko bije, zabijasz człowieka, któremu winieneś miłość i uszanowanie...

Puszczyk porwał się z krzesła.

— Panie prezesie — zawołał — ani słowa więcej, przez litość!

Prezes pogardliwie spojrzał na starca i mówił dalej.

— Jeżeli nie inny, to już ten jeden wzgląd powinien mieć dla ciebie niesłychaną wagę. Zasługi twego ojca...

— Mego ojca?... z zadziwieniem spytał młodzieniec podnosząc głowę.

— Tak jest — odrzekł prezes — twego ojca, który z boleścią patrzy na zaciętość syna, z upragnieniem czeka wyrazu wyznania i pokory, który dziecku jego wolność i szczęście powróci...

— Nie rozumiem, co pan chcesz przez to powiedzieć — przerwał Ireneusz—Jeszcze dzieckiem będąc straciłem ojca, jestem zupełnym sierotą. Mój ojciec, gdyby żył, błogosławiłby mi na ciężką drogę, jaka mię czeka, ale nie żądał wyznania, któreby mnie i jego spodliło...

Pan prezes zaśmiał się szyderczo.

— Złe masz wiadomości o ojcu twoim. Widocznie nie byłeś dobrym synem, boś się nie dowiadywał o niego. Twój ojciec żyje i jest tu obecny...

Straszny łoskot przerwał mu mowę... Nieszczęśliwy starzec nie mógł znieść dłużej tej okropnej sceny; słowa prezesa targały mu duszę i odebrały wreszcie przytomność. Bez życia prawie runął na podłogę, wydając jęk straszny, przenikliwy, bolesny, który głuchem echem odbił się po wielkiej sali i niezmierzonych korytarzach więziennych.

* * *

Nazajutrz poźnym wieczorem zabrzęczały łańcuchy na dziedzińcu więziennym; kilku skazanych, skutych do jednego łańcucha, wyszło z bramy; okrążyli ich uzbrojeni żołnierze, głośny rozkaz wymarszu dał się słyszeć, łańcuchy znów zabrzękły po bruku; więźniowie wyruszyli na miejsce przeznaczenia swego...

Blady księżyc podnosił się zwolna na niebie... chmury gnane wiatrem skrywały go ciągle, i gromadząc się w coraz większych rozmiarach, groziły zupełnem zaciemnieniem. Wicher jęczał ponuro, a w oddali brzęczały łańcuchy więźniów gnanych w Sybir i rozlegały się krzyki pijanych żołnierzy.

Pomiędzy więźniami szedł Ireneusz. Od wczoraj cierpiał on okropne męki; słowa prezesa brzmiały mu ciągle w uszach, a postać zemdlonego starca, którego nazwano ojcem jego, w oczach mu nieustannie stała jak straszne widmo, piętnujące hańbą jego czoło szlachetne.

Pomiędzy moskiewskimi zbirami jego ojciec rodzony! Ta myśl targała rozpaczliwie jego biédne serce, a w porównaniu z tą męką niczem już było wygnanie, niczem kopalnie sybirskie.

Nagle w oddali ujrzał Ireneusz cień jakiś, niby postać ludzką biegnącą ku niemu. Postać ta zbliżyła się szybko, przystanęła nieco i szła potém tym samym krokiem, co więźniowie, uporczywie w nich się wpatrując.

Księżyc wyglądnął z za chmury i bladym swym promieniem oświecił tę postać.

I w tejże chwili usłyszał westchnienie, niby lekki szum wiatru, i ledwo dosłyszany szept:

— Synu mój!...

— Ty nie jesteś moim ojcem! — zawołał Ireneusz w rozpaczy.

Na ten wykrzyknik postać jęknęła boleśnie i padła na ziemię.

Żołnierze zawołali na więźniów i pognali ich prędzej; niebawem dźwięk łańcuchów skonał w oddaleniu.

Po chwili Puszczyk podniósł się zwolna z ziemi i błędnym wzrokiem potoczył dokoła. Ciemno było wokół, ponuro i pusto; wicher jęczał po pustem polu jakąś pieśń żałobną, snać za tymi, którzy za życia w grób poszli...

Stał długo, patrzał na drogę, którą poszedł syn jego, w końcu zawrócił się i bez pamięci pobiegł ku miastu. A krzyk sumienia głośniejszy niż kiedy wołał doń w duszy:

— Gubiłeś drugich i byłeś bez litości; zaprzedałeś się rządowi na zgubę własnych ziomków, patrzyłeś obojętnie na łzy ojców i matek. Bóg takich zbrodni nie zostawia bez kary. Pogarda własnych swoich ziomków, pogarda samych nawet Moskali, żywot nędzny, osamotniony w rozpaczy, nareszcie wyparcie się własnych dzieci i hańba ostateczna, to kara —która zdrajców prędzej lub poźniej dosięga.

Nazajutrz mieszkańcy ulicy Węglanej usłyszeli z przerażeniem straszny łoskot; dach i część kamienicy zajmowana przez gospodarza zawaliły się grzebiąc pod murami swemi człowieka, który oddawna był przedmiotem ogólnej pogardy i wstrętu.

Opustoszona kamienica stała się gniazdem rzeczywistych puszczyków, które ponurem swojém hukaniem straszyły nieraz spokojnych mieszkańców Węglanej ulicy.

PRZEJAZDKA PO WIŚLE.

Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy,
Z źródeł karpackich coraz szérsza bieży,
Unosząc obraz roskosznych wybrzeży.
A nad nią ówdzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyla się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziéwczęta prowadzą do wody.
A nasza Wisła, tak spokojna, cicha,
Że jej nie słychać, tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola;
Stare się wiérzby nad nią zadumały
O swéj starości, o spróchniałéj korze,
Ściętych konarach i minionej porze;
Bo one młodość z Wisłą przeigrały,
I do niej jeszcze, krzywe, karłowate,
Stroją swe czoła w zieloności szatę.
Rzadko już buki i piękne dąbrowy,
Pławią w jej nurtach przewrócone głowy;
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała,
Nad nurtem wielkie konary rozwiała.
Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze,
Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
I cynk śrébrzysty, i sól i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiały. —
Niesiesz, gdy zechcesz; a gdy nie masz woli,
Próżno berlinka żaglami swawoli,
Lub galar wiosłem twoje fale liźnie;
Ty nie chcesz — muszą stanąć na mieliźnie,
Ty zechcesz — płyną, a widokrąg cały
Zda się ucieka, i chowa i znika,
I tylko czasem plusną twoje wały
Pletwą szczupaka, wód twych rozbójnika,
Lub wir je zmąci, a na dnie łożyska
Igrają chmury, i słońce rozbłyska.
Ptaszki świegącą w nadbrzeżnéj wiklinie,
U góry bocian wyciągnęty płynie,
A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
A gdy cię Wisło ścisną zimne lody,
Tyś jak zwierciadło, jak srébrna tablica,
Na któréj słońce maluje swe lica,
Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem
Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
Pienisz się, płyniesz széroko, wspaniale,
I pierś twą wzdymasz za wiosny powrotem.
A kiedy w górach potopnieją śniegi,
Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
Zaléwasz pola, i unosisz z sobą
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
Powalasz domy, i na twojéj fali
Nieraz niemowlę w kołysce się żali;
A potém znowu wracasz w twe ukrycie
I cicho płyniesz w odwieczném korycie.
W starém korycie, o rodzinna rzéko!
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką,
Niech na twych błoniach, tak pełnych tęsknoty,
Bóg litościwy da urodzaj złoty;
Wtedy twe fale pokrają na pręgi
Niosące zboże, ładowne komięgi,
A flis krakowski, twój przyjaciel stary,
Kupi ci suknię za gdańskie talary.

A. Czajkowski.

Wincenty Pol i Kajetan Suffczyński.

(Notatka do brografii.)

Wszelkie, choćby najdrobniejsze nieraz szczegóły, odnoszące się do ludzi wielkiej zasługi i rozgłośnego imienia, nie mogą być obojętne dla miłośnika rzeczy ojczystych. Nie od rzeczy zatem, jak sądzę, będzie krótki opis przyjęcia, jakiego po półwiekowej prawie nieobecności w rodzinnem mieście swojem, Lublinie, doznał nieodżałowany autor „Pieśni o ziemi naszej.“

Skompromitowany w powstaniu litewskiem r. 1831 Pol, długo nie mógł otrzymać pozwolenia na przybycie do Królestwa; pozyskał je wreszcie dzięki usilnym zabiegom przyjaciół w. r. 1857.

W pierwszej zaraz chwili po przybyciu do Warszawy zetknął się poeta z jedną z najwybitniejszych i najbardziej wpływowych w stolicy postaci, hr. Leonem Łubieńskim. Nazajutrz rano odwiedził go hr. Leon w towarzystwie Augusta hr. Potockiego; drugi zaprosił wieszcza do Wilanowa, tej prawdziwej skarbnicy pamiątek polskich. Zastał tam Pol zgromadzonych kilkadziesiąt osób obojga płci,

którzy prześcigali się w ugoszczeniu i obznajomieniu go z pamiątkami, jakie zawiera ta siedziba króla Jana.

Gdy poźno w noc powracał z wycieczki, wręczył mu odźwierny 2500 biletów od tych osób, co dowiedziawszy się o jego bytności w stolicy, w ciągu dnia go odwiedzili. Nazajutrz obiadem na 400 osób uczciła resursa kupiecka ukochanego gościa; wspaniałe wieczory, huczne bankiety, trwające bez przerwy przez dwa tygodnie, świadczyły wymownie, z jaką radością widzieli go w murach swego grodu Warszawianie.

Pomimo tylu objawów życzliwości tęsknił Pol za miejscem rodzinnem, i dlatego po upływie dni kilkunastu ruszył do Lublina. Wieść o jego przybyciu lotem błyskawicy rozeszła się po całem Lubelskiem, a wiadomości dochodzące z wszystkich stron województwa zapowiadały zgromadzenie pięciuset szlachty. Zaniepokojona tak wielkiem zbiegowiskiem władza, jakkolwiek nie kładła zapory solennemu przyjęciu, jakie się gotowało, niemniej przecież ostrzegła, że taka publiczna owacya mogłaby się stać powodem odmówienia Polowi wizy paszportowej, coby mu przeszkodziło zająć się Firlejowszczyzną, własnością niegdyś ojca, którą mu mieszkańcy Lubelskiego ofiarowali w darze. Wzgląd ten skłonił poetę do zażądania, by zaniechano tak rozgłośnego podejmowania; ograniczono się przeto na prywatnych wieczorach. Na jednym z nich, w domu prezesa dyrekcyi szczegółowej towarzystwa kredytowego, p. Hempla, nieodżałowanej pamięci Kajetan Suffczyński, związany poźniej węzłem najściślejszej przyjaźni, który w kilka miesięcy po zgonie przyjaciela przeniósł się również do wieczności, powitał go imieniem współziemian następnemi słowy, które tu przytaczamy wedle dyktatu samego twórcy, dokonanego przed kilku laty, gdyśmy go mieli szczęście poznać:

„Gród odwieczny, w którym Cię witamy, i ziemia, której on stolicą, niepoślednie miejsce w historyi naszej zajmują, bo były zawsze kolebką zasługi i wielkich spraw kraju świadkiem. Dzieckiem twe oczy patrzyły na te pomniki chwały, dziś mężem popatrz znów na nie.

Niedawno jeszcze stała ta świątynia, co ją ślubował Piast pobożny; Bóg zastępów dał mu zwycięztwo, i siedm wieków dzwony fary głosiły chwałę Pana [1]). A tam na wzgórzu stoją jeszcze mury, gdzie dzielne wnuki Jagiełły nauczali mądremi słowy Długosz i Kallimach. Błogi był owoc ich pracy, bo czterech z ich uczniów z chwałą dźwigało dyadem monarszy — piąty się dobił korony w niebie [2]).

I syn nie odrodził się od ojca, bo ich następca aktem miłości, jedynym pojawem w historyi świata, dwa wielkie narody w murach tego miasta węzłem braterskim połączył.

A jakie męże, jakiej zasługi wydała ta ziemia nasza: odwieczny ród Tarłów, mądre Firleje, dzielne potomki Lubarta [3]), tu sobie obrali siedzibę doczesną i wieczną. Ztąd niedaleko stoi jeszcze zamek, a z niego rodem mąż niezłomny, co to powstał ani z soli ani z roli, ale z tego, co to boli [4]); w bliskości znowu wieś imienna króla bohatera, ogromne lipy ręką jego sadzone [5]), i szczątki kaplicy, gdzie idąc pod Wiedeń, modlił się ten ostatni rycerz krzyżowy [6]). Tam nad zielonemi brzegami Wieprza któż z rówienników naszych nie pamięta owej wieży zamkowej, gdzie dumnego Rakuzanina trzymał w więzach dzielny Jan Zamojski [7]); albo ta licha mieścina, co się rozsiadła śród bagien, owe Tyszowce, jakiegoż to czynu świadek... tam w skromnym plebana domku nie wielcy świata, nie możnowładzcy, ale dwóch dobrej szlachty zaprzysięgło związek święty, co potem zbawił kraj cały [8]).

Na takich to ludzi, na takie czyny patrzały dawne pokolenia, a przecież ojcowie nasi z żalem i z zazdrością poglądali za Wisłę, na owe sandomirskie strony; mieli oni jak ich sąsiedzi pomiędzy swoimi i wieńce wawrzynu i obywatelskie korony, brakło im tylko laurów wieszcza, a Sandomierzanie mieli Jana z Czarnego lasu....

Ale ten, co szczodrą ręką rozlał swe dary na tę ziemię, i tego jéj zaszczytu nie odmówił; pięćdziesiąt lat temu tyś tu przyszedł na świat, a wziąwszy lutnię do ręki pojąłeś wielkie posłannictwo wieszcza polskiego; bo kiedy poezya świata starego hołdowała tylko miłości i sile, jedni polscy poeci sprawie publicznej rymy swoje święcili. Jan, członek silnie uorganizowanego społeczeństwa, spiewał o naprawie usterków i zboczeń rzeczypospolitej — ty, dziecię tego zimnego wieku, przeciwstawiając szczytne obrazy przeszłości małostkom dzisiejszym, wyraźnie nam mówisz: „Chceszli być prawym, to patrz zasię!“

---

[1]) Leszek Czarny przed bitwą z Połowcami zasnąwszy pod dębem, miał sen zwiastujący mu zwycięztwo. Zrobił on votum, że jeśli zwycięży nieprzyjaciela, wystawi farę w Lublinie; pień dębu, pod którym zasypiał, był wmurowany w głównym ołtarzu. Przybytek ten zawalił się niedawno.

[2]) Dzieci Kazimierza Jagiellończyka wychowały się w zamku lubelskim dziś przerobionym na więzienie.

[3]) Sanguszkowie.

[4]) Gardzienice, dziedzina Stefana Czarneckiego.

[5]) Sobieska-wola

[6]) Pilaszkowice.

[7]) Po bitwie pod Byczyną Jan Zamojski z wziętym w niewolę arcyksięciem Maksymilianem przebywał czas jakiś w zamku krasnostawskim.

[8]) Konfederacyą tyszowiecką, która złamała potęgę najazdu szwedzkiego, po mszy św. w mieszkaniu proboszcza zawiązało dwóch ze szlachty — jeden nazwiskiem Służewski, drugi Trypolski.

Nic więc dziś do pozazdroszczenia nie mamy naszym braciom sandomierskim; szczęśliwsiśmy nawet od nich, bo kiedy oni chwałą tylko, my i obecnością wieszcza cieszyć się możemy. Błogosławimy tedy przybyciu twemu pośród nas, i prosimy: osiądź na ziemi, której jesteś zaszczytem, a gdziekolwiek kroki twe zwrócisz, napotkasz uścisk braterski, nieobłudną przyjaźń i to serdeczne życzenie:

Tyle szczęścia, dobrych wieści,
Co ten kielich kropel mieści.

K. K.

Kronika literacka i artystyczna.

(Dyrekcya hr. Cetnera. — Nowe sztuki. — Grzech pierworodny repertoarza polskiego. — Konkurs dramatyczny. — Odczyty Towarzystwa pedagogicznego.)

Lwów, w grudniu 1873.

Teatr w posiadaniu hr. Cetnera, oto temat rozmów dni ostatnich. W sądzie komitet przegrał sprawę, a wyrok opiewa w ten sposób, że pod karą 1000 złr. hr. Eugeniusz Cetner nie ma być naruszanym w prawie kierownictwa sceną przez czas umowy zawartej z komitetem. Wypisujemy ten fakt na czele dzisiejszej kroniki, oprócz tego bowiem, że jest on sam przez się niemałej doniosłości dla naszej sztuki scenicznej, stanowi także poniekąd zwycięztwo opinii publicznej, która szczery i gorliwy udział brała w całym przebiegu ostatnich zajść zakulisowych, stając stanowczo po stronie hr. Cetnera i artystów. Ci ostatni zawiązali już byli spółkę, aby ewentualnie, t. j. w razie ustąpienia obecnego swego dyrektora, objąć teatr na własną rękę; ewentualność ta wszakże odpadła po wyroku sądowym. Chwilowo więc spokój nastał w królestwie Talii i Melpomeny, na którym w pierwszym rzędzie sztuka bardzo zyskała, to też ostatnie przedstawienia nosiły już na sobie cechę staranności artystów i reżyseryi, której w czasach prowizoryów i rozruchów wymagać od nich nawet nie można. Widzieliśmy na scenie kilka nowości, mianowicie zaś oryginalne sztuki: „Diabeł wenecki“ dramat w 5 aktach na tle historycznem przez M. Wołowskiego, tragedyą historyczną Józefa Szujskiego p. t. „Zborowscy“ i dramat także na tle historycznem Juliana z Poradowa „Przeor Paulinów“. Pierwsza z sztuk przytoczonych jest też pierwszym większym utworem scenicznym młodego autora, a jako taki „Diabeł wenecki“ posiada zalety, których nie dostaje wielu pierwiosnkom autorskim. Mianowicie język łatwy a poprawny, i tendencya szlachetna pozwalają wnosić, że literatura nasza dramatyczna ma prawo spodziewać się po p. Wołowskim na przyszłość co się zowie dobrych sztuk. „Zborowskich“ czytająca publiczność zna z publikacyi książkowej; jest to bodaj czy nie najlepszy z utworów dramatycznych zasłużonego autora, historyka, profesora. Przedmiotowi historycznemu, który sam przez się jest wysoce dramatycznym, nadał autor więcej jeszcze interesu, rozwinąwszy bardziej niż w innych swych sztukach pierwiastek inwencyjny, naczem mianowicie poetycka strona „Zborowskich bardzo zyskała. „Przeor Paulinów“ jest wyborną sztuką ludową, jak łatwo wnosić po przedmiocie samym. Autor wielką w istocie oddał usługę repertoarzowi polskiemu, tak ubogiemu pod tym względem. Więcej nam sztuk jak „Przeor Paulinów“, podtrzymać zdolnych i pokrzepić ducha narodowego w szerszej publiczności! Scena polska o tyle właśnie ma dziś zadanie większe od innokrajowych, że winna być nietylko świątynią sztuki, szkołą życia i miejscem rozrywki, ale w równym jeśli nie pierwszym rzędzie przybytkiem Znicza ojczystego!

Pod ostatnim właśnie względem najwięcej przywiązujemy wagi i nadziei do dyrekcyi hr. Cetnera. Dotychczasowy repertoar scen polskich wogóle zamało uwzględniał owo zadanie, o którem wypomnieliśmy wyżej. Scenie warszawskiej, rozumie się, dziwić się wcale nie można; poznańska to jeszcze niemowlę, któremu dopiero życzyć można serdecznie krzepkiego rozwinięcia się, lwowska zaś w rzeczy samej ostatniemi czasy za dyrekcyi obecnej weszła już na właściwą drogę, byle tylko z drugiej strony nie tak skwapliwie w repertoarzu swym otwierała przystęp ladaczemu, co się pojawi na scenie niemieckiej lub francuskiej, nie raczyła nas sztukami, jak n. p. „Nowa Magdalena“. Stara to wada nasza, ta płochość w przyswajaniu sobie rzeczy obcych dla tego tylko, że nie swojskie; niechby na śmiech napisał pierwszy lepszy Francuz lub Niemiec „sztukę i kawałek“ a foburgowa publiczność paryska lub wiedeńska okrzyczała ją za „picant! amusant!“ — masz ją wnet na scenach polskich, jako wabik kasowy, zawodzący zresztą bardzo często, jak n. p. wspomniana „Nowa Magdalena“. Publicystyka nasza ma też na swojem sumieniu tę wadę polskiego repertoarza, nie szczędzi bowiem reklam sztukom, które po przedstawieniu sama potępia. Ileż to naczytać się można było przed przedstawieniem „Nowej Magdaleny“ pochwał tej lichoty estetycznej i moralnej w organach opinii lwowskiej — po przedstawieniu zaś równie prawie jednomyślnie organa te nie miały słów oburzenia dla tejże sztuki, tak jak publiczność znów nie miała słów oburzenia dla tych organów, bałamucących i dyrekcyą, i publiczność i artystów. Teatr bez stałego planu, systemu w kierownictwie musi chromać i padać ciągle ofiarą z jednej strony płochej reklamy gazeciarskiej, z drugiej domniemanego gustu chwilowego publiczności. Plan, system taki, jest dziś pierwszem, naglącem zadaniem dyrekcyi, jeśli dobre jej chęci i trudy niezaprzeczone mają wydać jakiś rezultat pomyślny dla sztuki.

Konkurs lwowski na utwory dramatyczne, którego termin upływa z d. 1. stycznia 1874, prawdopodobnie równie będzie obfitym co do ilości nadesłanych sztuk, jak zeszłoroczny krakowski. Do połowy bieżącego miesiąca nadesłano nań już do 40 utworów. Tytuły ich najlepiej powiedzą, jaki kierunek obrała sobie dzisiejsza dramaturgia polska; oto niektóre: „Blagier [illegible]

dya w 3 aktach; „Tajemnica“ obrazek ludowy ze spiewkami w 1 akcie; „Córka lichwiarza“ obrazek dramatyczny w 2 oktach; „Chwila wszechwładzy“ (z lat 1605 — 1606) dramat w 5 aktach; „Jadwiga“ dramat; „Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma“ fantazya dramatyczna w 3 aktach; „Wanda“ dramat w 3 aktach; „Emancypacya kobiety“ melodramat w 3 aktach; „Upior“ dramat w 3 aktach; „Cromwell“ dramat historyczny w 5 aktach; „Krystyn z Grozdowy“ dramat w 5 aktach; „Król na weselisku“ obraz dramatyczny w 3 aktach; „Tyran“ tragedya w 5 aktach; „Pan i szlachcic“ dramat w 5 aktach; „Vanina Ornano“ dramat w 5 aktach; „Przeszłość“ komedya w 3 aktach; „Agnieszka z Meranu“ dramat historyczny w 5 aktach; itd. Nieznane nam w tej chwili tytuły dalszych sztuk z liczby nadesłanych poźniej podamy czytelnikom. W każdym razie znaczna ta cyfra napisanych w ciągu roku sztuk konkursowych po równie znacznej zeszłorocznej świadczy o rozbudzeniu się u nas olbrzymiego stosunkowo ruchu na polu literatury scenicznej, w czterdziestomilionowych Niemczech bowiem rzadko zdarzy się konkurs dramatyczny, któryby mógł znaczniejszą od powyższej wykazać się cyfrą pretendujących do premii utworów.

Od miesiąca odbywają się odczyty z nauk przyrodniczych i humanitarnych, urządzone przez zarząd oddziałowy lwowski Towarzystwa pedagogicznego. Publiczność w tym roku liczniej niż zazwyczaj gromadzi się na te odczyty, zwłaszcza panie nasze żywy w nich biorą udział. Dotychczas wykładali pp. dr. Bronisław Radziszewski „O chemicznych własnościach wody i powietrza“; dr. Stanecki Tomasz „Z kosmografii“; p. Władysław Kozłowski „Wstęp do historyi powszechnej“; dr. T. Ciesielski „O czynnościach żywotnych świata roślinnego“; dr. Żuliński Józef „O świecie kopalnym“. Oprócz wymienionych prelegentów wykładać będą w następnych seryach odczytów pp. J. Amborski „Ustęp z literatury francuskiej“; prof. dr. Kreutz „Z geologii“; prof. Adam Kuliczkowski „Ustęp z historyi literatury polskiej“; dr. Z. Samolewicz „Ustęp z historyi literatury starożytnej“; p. Józef Tretiak „O Cydzie i Don Kiszocie“; p. Bronisław Zawadzki „O Mikołaju Reju na tle obyczajowem“ i dr. Tadeusz Żuliński „O czynnościach fizyologicznych człowieka“. Odczytów będzie przeszło 50; odbywają się codziennie z wyjątkiem dni świątecznych i czwartkowych od godziny 4—5 w sali ratuszowej, i po przerwie dwutygodniowej z powodu świąt Bożego narodzenia potrwają do marca.

Mieliśmy w Adwencie koncert Towarzystwa muzycznego i przedstawianie amatorskie na rzecz Czytelni akademickiej. Obie produkcye zadowolniły publiczność w wysokim stopniu, ama orowie ostatnim razem grali jak nigdy.

B. K.

Drezno, w grudniu 1873.

(Urodzaj dramatyczny: „Na ukrainie“, „Przeor Paulinów“; „Krok“— Estetyka Lemkiego. — Wydatnictwa poznańskie. — Literatura powieściowa: Pamiętniki Daniela. — „Listy z Czech“ Smorczewskiego. — Zapowiedziane z Nowym Rokiem wydatnictwa warszawskie.)

Nigdyśmy, nawet za czasów Osińskiego i Yxów, nie mieli takiego urodzaju dramatycznego jak dzisiaj. Szczególne okoliczności ściągnęły nam ten *embarras des richesses.* Nie można powiedzieć, byśmy z siebie samych zaczerpnęli ten zapał do tworzenia dramatów, aby on był w naturze naszej; prędzejby posądzić można nas o naśladownictwo, któremu zbyt często ulegamy, nie przyznając się do niego. We Francyi, w Niemczech, Anglii, nawet w Rossyi (Tołstoj) literatura dramatyczna rozkwita, a raczej buja, bo rzeczywistych kwiatów nie wiele. Musieliśmy więc i my torem ogólnym pójść i posłuszni być smakowi wieku. Nic w tem złego. Pisma warszawskie donoszą o dramacie Deotymy „Narzeczona z Ogrodzieńca“; leży przed nami „na Ukrainie“ i nieszczęśliwy Twardowski“ Grozy i „Krok“ Komorowskiego i „Przeor Paulinów“ Juliana z Poradowa i Szujskiego „Kopernik“, nie licząc tych mnóstwa premiowanych, usuniętych, potępionych, poronionych, które padły konkursu ofiarą. Teatrów znaczniejszych mamy niewiele: Warszawski pierwszy ze wszech względów, zasobami talentów, tradycyj i środków; krakowski, który bez tego wszystkiego dokazuje cudów siłą dyrekcyi umiejętnej; lwowski, który cudaczy i żyje konwulsyami; wreszcie poznański, poddany elektrycznej kuracyi dla uleczenia z paraliżu. Oprócz warszawskiego, na którym powtarzanie sztuk jest możliwem, na wszystkich innych publiczność, *homo novus*, nie smakuje w dziełach, ale je mniej więcej łakomie spożywa, więc coraz łaknie nowości, których jej ledwie nastarczyć można, i na których zużywają się znękani artyści. W Poznaniu jedna tylko „Halka“ Moniuszki kilkanaście razy powtórzyć się dała; dowód, że muzykę lepiej tu rozumieją i lubią, niż urok — słowa. Oprócz warszawskiej publiki wszystkie inne (krakowska zasługiwałaby na pewne odcieniowanie) szukają na scenie nie gry wykończonej, nie dramatu ducha i serca, ale scenicznych efektów i najjaskrawszych barw a treści. Jestto zwykłe znamię braku wykształcenia. Trudne więc zaprawdę położenie dyrekcyi każdej, nieszczęśliwych artystów, na których ta łapana gra improwizowana wywiera wpływ zgubny, a najsmutniejsza autorów pracujących — nie dla tantiemy, bo jej nie ma, nie dla sławy, bo ta artystom się dostaje, — ale na chwałę Bożą, a narażonych na najniesprawiedliwsze ocenienie, bo ich ani grać dobrze nie mogą, ani słuchać nie umieją. Teatr więc pomimo wysiłków jest w położeniu nader smutnem, a mimo to — *si muove.* Sztuka, która nie może być graną w Warszawie, — tak jak książka, która nie idzie do królestwa — nie ma przyszłości. *E pur si muove*, dramatów mnóstwo. Raz być granym — i umrzeć! wołają poeci.

O dramacie „Na Ukrainie“ mówiliśmy obszerniej gdzieindziej. Dziś on może być narażonym na tak stronnicze i płaskie sądy, jakie go spotkały w jednem z pism poznańskich, ale go przyszłość oceni. Jestto dzieło natchnienia i rozmysłu, utwór znakomitego talentu, któremu takie studenckie krytyki dla popisu, ująć nie mogą. — Przeor Paulinów ułożony praktycznie tak, że na scenie z powodzeniem grany być może, jest także próbą nie bez zalet, czerpiącą w samym przedmiocie zajęcie, jakie obudza. Są w nim sceny szczęśliwe, a zadanie było tak trudne, że rozwiązanie to można uważać za dowód istotnego dramatycznego talentu. — Krok p. Komorowskiego, w którym się nam przypomina Słowacki, a przez Słowackiego stary William, jest dziełem młodzieńczego też talentu. Obok zalet, które dla przyszłości poety dobrze rokują, szczególniej uderza to umyślne zapomnienie miejsca i czasu, które uczu-

cia, język i obyczaje innych wieków przenosi w sfery różnej wcale cywilizacyi, charakteru i fizyognomii.

Czasem prawda psychiczna płaci za anachronizm taki — ale nigdy w zupełności. — Trudno się z tem oswoić. Rzecz dzieje się na Rugii w początku XII. wieku (1105), gdzie jakoś inaczej wyglądać musiało niż w Kroku. Świat ten sławiański, party przez Germanów, wcale inaczej malują badania i dzieje; nie idzie nam o historyczne fakty, ale o charakterystykę wieku i doby cywilizacyi, która rodzi inne uczucia lub różną im twarz nadaje. Barwą epoki nie godzi się pogardzać; nie rozumiemy bohaterów rzymskich w perukach *a la Louis XIV.* Pan Komorowski ma za sobą znakomite przykłady poprzedników wielu jenialnych, lecz jakiejże to poezyi, jakiego uroku myśli, słowa, jakiej logiki fikcyi potrzeba, ażeby kazać nam zapomnieć, że jesteśmy w nieokreślonem miejscu i czasie. — Jesteśmy pewni, że sam poeta uczuje się swobodniejszym, zstępując na ziemię i w warunki wszystkim śmiertelnym niezbędne do życia.

Na czele publikacyj, które fenomenalnością swoją obudzają najżywsze zajęcie, stoi niezaprzeczenie Estetyka Lemkiego w wybornem tłumaczeniu p. Bronisława Zawadzkiego, — przedsiębiorstwo *hors ligne*, w Galicyi wyjątkowe, które gdyby było znakiem odrodzenia i życia, witalibyśmy je z uniesieniem. Niestety! jestto książka wydana w Galicyi, ale nie dla Galicyi! — Któż w Galicyi czyta i kto zechce wziąć w rękę estetykę? — Nie można znaleść wyrazów na ocenienie samego faktu tego wydawnictwa i odwagi, z jaką przedsięwzięte zostało. Dzieło wyborne, wydanie wspaniałe, tłumaczenie, jakich nie wiele w literaturze. P. Bron. Zawadzki przełożył Lemkiego z talentem i z miłością. — Język, styl, smak nie zostawiają nic do życzenia, a do życzenia jest tylko, aby kraj z Estetyki nauczył się zdrowego sądu o pięknie, które dotąd sądzi i z charakteru i na chybił trafił.

Drugiem dziełem godnem szczególnego wspomnienia, wyszłem we Lwowie, jest rozprawa Dr. Tadeusza Żulińskiego o obecnym stanie Fizyologii i jej przyszłości. — Rozbiór tej pracy przechodzi zakres naszej korespondencyi, jest ona wszakże tak ważną, iżby powinna poważnie i sumiennie być osądzoną. Dr. Żulińskiemu nie idzie właściwie o fizyologią, ona tu stoi tylko służąc za przykład metody w badaniu naukowem, jej wad i niedostateczności; przedmiot to nadzwyczaj zajmujący. — Jeśli się nie mylimy, wnosząc z charakterystycznych fenomenów, sądzićby można, iż metoda badania i wnioskowania ulegnie wkrótce znacznej zmianie, że do rzędu faktów dotykalnych wliczone zostaną i te, które dotąd jako nie dość realne odpychano do mrzonek. — Jest na nieszczęście w naturze umysłu ludzkiego, że się musi do ostateczności przerzucać, nim na właściwą trafi drogę.

Z wydawnictw poznańskich zasługują na uwagę prawdziwie niezmordowanego Żupańskiego, naprzód dalszy ciąg Pantheonu wiedzy ludzkiej Trentowskiego, który szybko idzie ku końcowi i da literaturze ważne dzieło, dozwalające ocenić filozofa, przyjaciela Zygm. Krasińskiego i Cieszkowskiego, człowieka, który wpływ znaczny wywarł na rozwój pojęć u nas — następnie XIV tom zbioru pamiętników, zawierający notaty „Radom i Bar“ jenerła Kreczetnikowa (tłumaczenie bardzo dobre); Żywot Rajmunda Rembielińskiego przez S. W., ważny przyczynek do dziejów wewnętrznych księstwa warszawskiego i królestwa, nareszcie Uwagi nad politycznem, naukowem i filantropijnem działaniem Stanisława Staszica. Spora to znowu wiązanka rzeczy poważnych, do której nowy tom wzorów prozy prof. J. Rymarkiewicza (wydanie drugie) dodać należy, zbiór wielce pożądany w dzisiejszych warunkach wychowania i nauki prześladowanego języka.

Literatura powieściowa obfita jak zawsze — nie wszystko nawet, co mamy pod ręką, mieliśmy możność przejrzeć i ocenić. Wspomniemy tylko „Pamiętniki Daniela“ przez Józefa Tretiaka — opowiadanie w formie dziennika, którego przedmiot bardzo zwyczajny, szczęśliwem rozwinięciem i prostotą tematu się zaleca. Jestto historya przedwcześnie zużytego człowieka, który w zetknięciu z naturą świeży, niezepsuty, zdrowy powraca do życia. Charakter bohatera i bohaterki, i pani Amelii nie uderzają oryginalnością, epizodyczne postacie mogłyby wybitniej być indywidualnemi, ale całość miła, wdzięczna i obiecująca. Autor, poeta, którego pieśni wyróżniały się w liczbie zwykłych prób zjawiających nieustannie, ceni i pojmuje ważność formy i stylu. Niektóre ustępy powieści bardzo ładne, a ogół nie razi jaskrawością, co mu za wielką poczytujemy zasługę. Z Warszawy odebraliśmy rzecz starannie opracowaną, i dla Galicyi z pewnych względów zajmującą: „Listy z Czech‘ p. Adolfa Smorczewskiego. Wychodziły one w odcinku Gazety Polskiej, a teraz ukazały się w osobnem wydaniu. Mało opisów podróży i kraju czytaliśmy tak zajmujących, tak żywo spisanych i z taką znajomością rzeczy. — Z pewnych względów Czechy, to dla nas zawsze jeszcze terra incognita, pomimo odwiecznych z niemi stosunków i pobratymstwa, a podobieństwa losów naszych. Kto się chce zapoznać z rzeczywistym stanem kraju, jego pracą i żywotem wewnętrznym, nie może lepszego i milszego wybrać przewodnika nad p. Smorczewskiego.

W Warszawie z Nowym Rokiem zapowiadają się wydania pism Zygm. Kaczkowskiego (Unger), Biblioteka celniejszych dzieł literatury europejskiej (Lewental), całkowity przekład Shakespeara (zbiorowy, Spółka księgarzy) i wiele innych dzieł poważniejszej treści. Tam rzeczywiście o wykształcenie swe i podsycenie życia duchowego dbają wszyscy, tam zdrowa tradycya pracy umysłowej nie zgasła. W Poznańskiem rozłam społeczeństwa i wychowanie młodego pokolenia, w Galicyi polityka zgniła i moralny upadek w skutek wiekowych wpływów — doprowadziły do stanu chorobliwego; w cesarstwie mimo najstraszniejszych klęsk cudem prawie odradza się pracą, trudem i instynktem niezatraconym społeczność. Są rzeczy, o których się nie śniło filozofom ani naszym, ani obcym.

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

[Sobowtóry Napoleona]. Wielce rozpowszechnioną jest wiara u ludzi, że ktoś może być równocześnie w dwóch lub kilku miejscach widzianym. Takich ludzi nazywają *sobowtórami duchowymi*. Już w starożytności wierzono w takie zjawiska. Z nowszych czasów opowiadają następujące wypadki: Pewien radca górniczy w Niemczech starał się o córkę właściciela dóbr w sąsiedztwie, imieniem Julią. Gdy wyszli raz do ogrodu, prosiła go panna, ażeby jej przyniósł z pokoju zapomnianą parasolkę. Radca wszedłszy do pokoju, ujrzał pannę Julią, siedzącą przy stole roboczym, tylko była bledszą, niż gdy od niej odchodził w ogrodzie. Strach go ogarnął, ale odważył się przecież pochwycić stojącą obok niej parasolkę. Gdy oddawał ją panie, spostrzegła ta jego pomieszanie. „Przyznaj się pan — rzekła — pan coś widziałeś: pan widziałeś mnie. Ale niech się pan nie trwoży, ja nie umrę jeszcze. Jestem sobowtórką, byłam w myślach przy mojej robocie, i już nieraz widziałam obok siebie mój wizerunek, ale nie czynimy sobie nic złego.“ — Ojciec dyrektora gimnazyalnego Musaeusa, pleban, który miał do zaopatrywania wielką gminę, złożoną z pięciu parafij, bywał często o godzinę wprzód widywany tam, gdzie zamierzał się udać. — Pewną kucharkę w klasztorze w Ebersdorfie widywano w ogrodzie warzywnym wtedy, gdy stała przy kuchni. — Pewien pastor w Łużycach miał po zgonie swoim przypatrywać się własnemu pogrzebowi z okna wieży kościelnej. — Lord Byron, opowiadając sam o sobie, że przyjaciele jego mieli go widzieć w Anglii wtedy, gdy przebywał w Grecyi lub Turcyi, pisze przy tej sposobności: „Nie wątpię, że przez szczególny jakiś, nieznany nam proces możemy na pozór w podwójnej okazać się postaci; ale w której z nich jestem w takim razie rzeczywiście obecnym, to pozostawiam Wam do rozstrzygnięcia. Tego pragnę jedynie, ażeby moje drugie *ja* przyzwoicie się zachowywało.“

Innego rodzaju są sobowtórstwa naturalne, których przyczyną jest nadzwyczajne podobieństwo dwóch ludzi. Niejeden z czytelników ma zapewne swojego naturalnego sobowtóra, z którym nieraz go mieszano, ale nikt pewno nie miał ich tylu, co Napoleon I. Dziś jeszcze wielu jest ludzi, podobnych z twarzy do sławnego Korsykanina, który z kaprala wykierował się na cesarza. Ale już za życia jego odznaczało się kilka osób uderzającem podobieństwem do niego. Pomiędzy temi, które z tego powodu weszły nawet w styczność z Napoleonem, zasługuje szczególnie na wzmiankę skrzypek *Boucher*. W r. 1815, w ciągu studniowych rządów, ubierał się Boucher zupełnie tak, jak cesarz, i przechadzał się po ulicach Paryża. Wszędzie uważano go za Napoleona, i garnęli się do niego petenci, którym uprzejmie odpowiadał: „Zanieście, dzieci, prośby wasze do Tuileryów. Teraz musimy pracować nad obwarowaniem miasta.“ Wówczas czytano też w dziennikach: „Cesarz jest wszędzie, pomimo ćwiczeń wojskowych, prac w gabinecie itd. ogląda on codziennie roboty fortyfikacyjne i przechadza się pomiędzy robotnikami.“ Gdy się zbliżała wielka bitwa pod Waterloo, ofiarował się Boucher stanąć na czele korpusu armii, ażeby odgrywać tam bierną, niemą rolę. Sądził on, że ukazanie się jego, jako fałszywego Napoleona, zdala od miejsca, w którem prawdziwy się znajduje, przyczyni się do podniesienia odwagi żołnierzy. Oryginalny ten pomysł oznajmiono też istotnie cesarzowi, ale ten odparł po niejakiem namyśle: „Nie, to mogłoby się stać niebezpiecznem, bardzo niebezpiecznem, jeźlibym został pokonanym.“ — Po bitwie pod Waterloo nie przestał Boucher ogrywać roli fałszywego Naooleona; chciał on naprzykład oddać się w ręce Anglików zamiast rzeczywistego Napoleona, był gotów nawet — jak zapewniają spółczesne pamiętniki — dać się rozstrzelać w szarym surducie i małym trójgraniastym kapeluszu.

Dwie inne anegdoty z życia Bouchera mogą posłużyć za dowód, że podobieństwo jego do Napoleona było istotnie łudzące. W r. 1819 pojechał nasz skrzypek do Brukseli, aby dawać tam koncerta, i wysiadł w hotelu, którego właścicielem był wysłużony sierżant starej gwardyi. Ten na widok Bouchera nie mógł ukryć swego zadziwienia, pociągnął skrzypka na bok i zawołał:

—„Co za szczęście, Najjaś. Panie! Wasza Ces. Mość zdołałeś się wyratować? Ale pocóż pokazywać się tak publicznie? Wszyscy znają Waszę Ces. Mość w Brukseli.“

—„Nie jestem tym, za kogo mnie pan uważasz, lecz muzykiem, a oto są moje skrzypce.“

—„Wasza Ces. Mość dobrze robisz, tak się przedstawiając, ale ze mną można mówić otwarcie; ja jestem resztką starej gwardyi, zawsze wierną Waszej Ces. Mości, i umiem milczeć. Dałbym się raczej porąbać w kawałki, a nie zdradziłbym mego cesarza...“

—„Ależ pan się mylisz... ja jestem Boucher, skrzypek.“

—„No, tak potrzeba mówić ludziom, ale ze mna...? Jednak muszę się zastosować do planów Waszej Ces. Mości.“

Były sierżant starej gwardyi nie zastosował się jednak do tych planów, lecz oznajmił natychmiast pani Montholon i panu Las Casas, że Napoleon uszedł z wyspy św. Heleny i mieszka u niego. Ażeby uniknąć wszelkiego rozruchu, pospieszył Boucher natychmiast do pani Montkolon. W przedpokoju spotkał murzynkę, przywiezioną z wyspy św. Heleny, która trzymała w ręku dużą tacę z szklankami i butelkami. Ta ujrzawszy Bouchera, krzykła okropnie, wypuściła wszystko z rąk i wpadła do pokoju pani Montholon wołając: „Pani, on ocalony! oto idzie.“ Boucher wyjaśnił nieporozumienie, którego powodem stało się nadzwyczajne podobieństwo jego do Napoleona; tylko właściciel hotelu nie chciał temu uwierzyć. Boucher dał mu wolny bilet na koncert. Gdy go nazajutrz zapytał, jak mu się podobało, odpowiedział: — „Jak zawsze! Doskonale! Wejrzenie, głowa, postawa — wszystko jak dawniej!“ — „Ale koncert?“ — „Z tego nic nie słyszałem; byłem tylko zajęty oglądaniem Waszej Ces. Mości od stóp do głowy. Jak pod Tylżą i Wagramem! Ale zalecam jeszcze, zbytnie się nie narażać; kilka osób poznało również Waszę Ces. Mość.“

Widownią drugiej anegdoty jest Petersburg. Po długiej restauracyi pojechał tam Boucher dla dawania koncertów. Pewnego dnia, gdy miał grać u księcia N., przybył tam car Alexander. Jak tylko spostrzegł skrzypka, przystąpił do niego i rzekł z największą uprzejmością;

—„Panie Boucher, chciałbym prosić pana o małą grzeczność.“

—„Wasza Ces. Mość?“

—„O coś takiego, co nie ma żadnej styczności ze sztuką pana.“

—„Jestem na rozkazy Waszej Ces. Mości.“

—„To chciej pan przyjść jutro w samo południe do pałacu. Zaprowadzą pana zaraz do mego pokoju i powiedzą, o co rzecz idzie. Powtarzam, że jestto grzeczność, za którą będę panu wielce obowiązanym.“

Boucher udał się nazajutrz o oznaczonym czasie do cesarskiego pałacu. Gdy był z carem sam na sam w jego gabinecie, prosił go tenże, ażeby udał się z nim do przyległego gabinetu. Tu leżały na stole: mały kapelusz bez galonów, szpada, uniform pułkownika od strzelców gwardyi francuzkiej i krzyż oficerski legii honorowej.

— Teraz powiem panu — rzekł car — o co chcę go prosić. Wszystkie te rzeczy miały należeć do cesarza Napoleona i zostały znalezione w Moskwie. Opowiadano mi o podobieństwie pana do niego, a ja znajduję je większem jeszcze, niż sądziłem. Moja matka żałuje, że nigdy nie widziała cesarza. Gdybyś pan był łaskaw korzystać z tych relikwii, przedstawiłbym pana w tym kostiumie mojej matce, która byłaby panu równie jak ja bardzo wdzięczną za to.“

Boucher przystał na to i uskutecznił swoję toaletę napoleońską w obecności samodzierżcy wszech Rosyi, który zaprowadził go potem do pokoju swej matki.

—„Oto jest żywy Napoleon“ — rzekł przedstawiając go matce. Carowa matka przypatrywała się wizerunkowi Napoleona długo i z wielką uwagą, poczem car zabrał napowrót swego gościa i hojnie go za tę komedyą obdarzył.

Drugim naturalnym sobowtórem Napoleona był kupczyk paryzki, imieniem La Touche. Gdy Napoleon po kampanii rosyjskiej powrócił do Paryża, opowiadano mu, że w Paryżu znajduje się człowiek, który z postawy i z rysów twarzy jest nadzwyczajnie podobny do niego. Napoleon był ciekaw, poznać swego sobowtóra, kazał go przywołać i przyznał sam, że podobieństwo jest bardzo wielkie La Touche, ubrany w uniform, jaki nosił Cesarz, był do niego zupełnie podobnym.

Napoleon wywiadywał się o stan i stosunki tego człowieka, który był cokolwiek młodszym od niego, i dowiedział się, że jest kupczykiem w jednym z handlów paryskich, ale nie ma wielkiej ochoty zostać kupcem. W ciągu tej rozmowy przekonał się też Napoleon, że jego drugie *ja* było dość głupie i bardzo tępego pojęcia. Bawił się więc jakiś czas tą głupotą swego sobowtóra, a potem go odprawił. W przód jednak pozwolił mu, ażeby go o co prosił. Z wahaniem odpowiedział La Touche, że ma wprawdzie życzenie na sercu, ale wątpi, czy cesarz zechce je spełnić. Napoleon zapewnił go, że spełni każde rozsądne życzenie. Ośmielony tem uczeń Merkurego wystąpił tedy z swoją prośbą, która zmierzała do tego, ażeby Napoleon mianował go porucznikiem, w pułku lansierów, który właśnie stał załogą w Paryżu. Cesarz śmiejąc się wypełnił jego życzenie. La Touche, który poźniej kazał się zwać de La Touche, wstąpił do pułku, ale dla swej głupoty niezdolnym był do pełnienia służby. Nieraz drwili z niego szeregowcy, krzycząc za okazaniem się jego: „Niech żyje cesarz!“, na co odpowiadał on zawsze łaskawem skinieniem głowy. Pozostawał on w armii francuzkiej aż do rozwiązania jej w r. 1814, i musiał czasami, pod należytym dozorem, odgrywać rolę Napoleona. Po wygnaniu Napoleona na wyspę Elbę bywał on często przedmiotem złośliwych żartów; wmawiano w niego, ze on jest prawdziwym Napoleonem, że zamyślają go aresztować, i t. p., co napędziło mu takiego strachu, że się ukrywał i po całych miesiącach nie wychodził z domu.

Trzeci sobowtór Napoleona żył w Niemczech, a był nim baron Herman Adolf Fürstenberg, oryginał rzadkiego kalibru, którego Levin Schücking znakomicie opisał w swoich charakterach westfalskich. Skutkiem jakiegoś sporu ze swoim bratem opuścił on zamek rodzinny i przeniósł się do pobliskiej chaty wieśniaczej, którą przyrządzono ile możności do użytku licznej famili i służby. Sala jadalna i recepcyjna musiała być oraz kaplicą domową. Gdy odprawiono mszę, ustawiano na fortepianie mały ołtarz. Po mszy pito kawę. Łóżko syna było we dnie biórkiem. Córki nosiły zwykle ubior męzki, najczęściej uniform huzarski. W zarządzie domu miała każda osobny wydział. Najstarsza, marszałek, zarządzała masztalnią, a że odznaczała się przytem sztuką leczenia, więc miała pod swoim zarządem także aptekę. Codziennie musiała stawać do raportu. Inna córka sprawowała urząd sekretarza, trzecia była mistrzem cermonii. W izbie służebnej przybity był regulamin ogniowy, a oraz obszerna instrukcya, jak postępować należy w razie nieprzewidzianych wypadków elementarnych. Niekiedy zdarzały się odwiedziny, i dla umieszczenia gości wynajmywano osobny dom; ale do stołu zasiadali wszyscy razem z baronowstwem. Obiad miał się rozpoczynać z uderzeniem godziny trzeciej, ale nieraz przeciągał się ten termin aż do godziny 11. w nocy, i latem zdarzało się więc często, że goście dopiero o świcie się rozchodzili; ale mimo to musiano im potem, jak śród ciemnej nocy, przyświecać aż do ich pomieszkania. Jeźli potrzeba było przedsiębrać podróż, układała głowa familii spiesznie pisemną instrukcyą na wszelki możliwy wypadek, i dopiero wtedy wyruszano w podróż, gdy baron przekonał się po kilkakrotnem przesłuchaniu, że go zupełnie zrozumiano. Masztalnię, złożoną z dwudziestu kilku pięknych koni, przeglądano często. Codziennie odbywały się ćwiczenia jazdy konnej, w których brały udział także niewiasty. Baron przypatrywał się z okna okiem znawcy tym ćwiczeniom, o których nieraz spisywano długie protokoły. Oprócz koni miał baron inne jeszcze zamiłowanie, zbierał zegary wszelkiego rodzaju. Przy podziale spuścizny otrzymało każde z jego dzieci po 21 samych zegarów ściennych. Podobieństwo barona z Napoleonem miało być zadziwiające. Aż do ostatnicj chwili zachował ten oryginał w zupełności wszystkie swoje fizyczne i moralne siły. Gdy przed samym zgonem chciał lekarz spróbować jeszcze nacierania flanelą, zawołał opryskliwie: „Ach, flanelą... zgrzebła przynieście!“ — i wkrótce potem wyzionął ducha.

Oprócz tych trzech podobieństw możemy wspomnąć tu jeszcze o jednem, o którem niejeden z czytelników miał zapewne sposobność przekonać się osobiście. Mamy tu na myśli zmarłego przed 10ciu laty dyrektora sceny krakowskiej ś. p. *Pfeiffra*, który w latach 1849 — 1851 był także dyrektorem teatru lwowskiego, i odznaczał się rzeczywiście wielkiem podo

bieństwem do Napoleona; toteż główną jego forsą artystyczną było przedstawianie tej osobistości w rozmaitych dramatach napoleońskich. Ktokolwiek widział go w takiej roli, przyzna słuszność twierdzeniu naszemu.

Nakoniec, kto chce widzieć podobieństwo, znajdzie je pewno. Tak n. p. odkryto także naturalny posąg Napoleona. Przylądek Wrede w Spitzbergen stanowią wysokie, strome góry, których podnóże składa się z czarnego łupku. Na wąskiem paśmie lądu, ciągnącem się między podnóżem gór a morzem, wznosi się pojedyncza, czarna skała łupkowa. Otóż w zarysach tej skały upatrzono szczególne podobieństwo do posągu Napoleona I., który stał w Paryżu na kolumnie Vendome; a więc posiada świat także Napoleonidę z łupku!

[Barbarzyństwo studentów amerykańskich]. O barbarzyństwie starszych studentów w wyższych zakładach naukowych w Ameryce względem młodszych rozpisują się teraz szeroko dzienniki tamtejsze, ponieważ na uniwersytecie w Cornell, w stanie NewYork, padł pewien młody student, imieniem Leggett, ofiarą tak zwanej *frycówki*. Studenci uniwersytetów amerykańskich tworzą kluby czyli związki, nazywane zwykle podług liter alfabetu greckiego (n. p. „Związek Delta-Alfa"). Młodszych i niedoświadczonych studentów namawiają starsi, ażeby przystępowali do takich związków; ale nim taki „fryc" zostanie przyjętym do związku, musi przebyć wprzódy rozmaite ceremonie barbarzyńskie, które opisują w następujący sposób: O północy zjawia się kika zamaskowanych postaci w pokoju kandydata, zawiązują mu oczy i krępują ręce, a potem prowadzą go śród nocy rozmaitemi zaułkami aż do lokalu, gdzie oczekują go związkowi. Tam depcą go nogami, szturkają i biją; po tej operacyi kładą go na dywanie, i dziesięciu silnych studentów podrzuca go w powietrze. Potem w okrutniejszy jeszcze sposób odbywa się chrzest fryca. Musi on złożyć przysięgę, że nie zdradzi tajemnic związku; a gdyby się poważył uczynić to, będzie mu serce wydarte z piersi.



STATUA ŚW. MICHAŁA WE LWOWIE.

(Obacz str. 382.)

Potem wkładają go do przygotowanej trumny, i w chwili zdejmowaniu mu zasłony z oczu rozlega się strzał. Biedny męczennik widzi się otoczonym strasznemi postaciami, i nic dziwnego przeto, jeźli wtedy zemdleje. Teraz następuje chrzest ogniowy. Obnażają mu ciało i trzymają rozpalone żelazo tak dlugo nad dołkiem żołądkowym, aż wybiegną bąble. Wtedy kładą mu kawałek lodu na to miejsce, co sprawia taki ból, że ofiara jęczy najokropniej. Nakoniec wkładają jeszcze ofiarę z zawiązanemi oczyma pod formalną gilotynę, której topór jednakże jest z drzewa, i tylko obciągnięty błyszczącą blachą. Gdy gilotyna jest już nastawiona, zdejmują mu zasłonę z oczu, i w tej samej chwili spada topór, który jednak zatrzymuje się nad samym karkiem ofiary. Otóż ceremonie te miały tak dalece przerazić młodego Leggetta, że umarł pod rękami oprawców. Tak utrzymuje publiczność, chociaż przysięgli orzekli, że to była „śmierć przypadkowa". To wywołało wielkie oburzenie przeciw studentom, i głos publiczny domaga się teraz zakazania związków studenckich; ale w Ameryce nie jestto rzeczą tak łatwą.

[Dolina śmierci]. Inżynierowie, kierujący budową kolei Colorado w Kalifornii, musieli w najnowszym czasie zbadać także okropną dolinę śmierci, położoną w hrabstwie San Bernardino u granicy Newady, na północ od dawnego gościńca Mormonów. Dolina ta, mająca szerokości cztery mile, a długości do sześciu mil, leży sto stóp nad powierzchnią morza, i otoczona jest łysemi górami, które tylko w dwóch miejscach przerzyna ciasny wąwóz; żaden ptak, ani inne zwierzę nie zapuszcza się na tę piaszczystą pustynię Inżynierowie kolei Kansas-Pacific znaleźli papiery, podające wiadomość z r. 1850 o orszaku wychodźców z nad jeziora słonego, któremu Mormon przewodniczył. Zbliżywszy się do tej okropnej doliny, sądzili niektórzy z wychodźców, że mogą się obyć bez mormońskiego przewodnika, i poruczywszy przewodnictwo jednemu z pomiędzy siebie, rozłączyli się z swymi towarzyszami. Puścili się z swemi rodzinami i wózkami w zachodnim kierunku, i zjechali po trzech dniach na dolinę śmierci, gdzie złudzeni przez Fata morgana spodziewali się znaleźć wodę. Dojechali prawie do połowy, nie widząc dokoła nic innego, prócz błyszczącego piasku i wysokich skał. Zaczęli tedy błąkać się po puszczy. Jedno po drugiem umierało, ginąc z pragnienia i znużenia śród gorącego piasku. Opuszczano wozy, najsilniejsi mężczyzni wlekli się z wytężeniem wszelkich sił, ażeby znaleźć wyjście z tej puszczy. Niektórym udało się po kilkodniowém błąkaniu znaleźć małe źródełko w górach, ale i to wkrótce wyschło, tak że w końcu tylko dwóch powróciło żywo do towarzystwa, z którem się rozłączyli. Siedmdziesiąt ośm rodzin i kilkaset sztuk bydła zginęło wtedy, i dziś po 23 latach znaleziono wózki w najlepszym stanie, a dokoła nich sterczące w piasku szkielety tych nieszczęśliwych,

[Żądza panowania u zwierząt]. Żądza uzyskania przewagi nad drugiemi, ażeby utrzymywać je w zawisłości, zdarza się często u zwierząt. Tak n. p. dzikie konie prowadzi zawsze jeden ogier, chociaż kilka ich znajduje się w stadzie. Ale to panowanie ogiera bywa zawsze rezultatem gwałtownej walki, i ustaje, skoro innemu nda się pokonać przewodnika. Mały obraz takiego spółzawodnictwa o władzę przedstawiają nasze kurniki. Jakaś kura miewa tam zawsze przewagę nad innemi. Jeźli się hoduje razem kilka rodzajów drobiu, przywłaszczają sobie zawsze władzę niektóre z tych zwierząt, zwykle najmocniejsze koguty lub indyki. Pewien Francuz opowiada następujący wypadek: W bardzo licznym niegdyś kurniku moim w Teksas przywłaszczyło sobie władzę nad całą skrzydlatą rzeszą dwóch indyków, a z temi rywalizował ciągle trzeci pretendent, bardzo odważny kogut. Walki więc bywały bardzo częste, i kogut, zwinny i waleczny, byłby nieraz odniósł zwycięztwo, gdyby nie to, że wbrew ustawom pojedynkowym zaraz drugi indyk spieszył na pomoc swemu przyjacielowi, i biedny kogut zaatakowany z dwóch stron, musiał uciekać z placu. Pewnego razu zdarzyło się, że stara kwoka, która bardzo gwałtownie broniła swoich piskląt przeciw roszczeniom tych dwóch despotów, postradała przytem życie. To spowodowało mnie, nadać tym zwierzętom rozjemcę, i to w postaci psa bardzo zwinnego i roztropnego, który musiał przez dłuższy czas przebywać w kurniku i przywracać pokój w razie walki. Zaledwie ukazał się ten pies w kurniku, rzucili się na niego zaraz obadwaj rycerze indyjscy i zaczęli go dzióbać. Ale pierwszy z napastników utracił zaraz znaczną porcyą pierza na piersiach i uciekł przerażony; drugi chciał także umykać, ale pies pochwycił go za ogon, a gdy ten się wydarł, wskoczył na niego, przydusił go do ziemi i chwycił zębami za szyję. Nie wiele brakowało, a rycerz smutnej postaci byłby padł ofiarą swojej zuchwałości, ale jedno słowo moje ocaliło go od zguby. Odtąd był pies sędzią pokoju w tym kurniku, rozstrzygał wszystkie drobne, niepotrzebne spory i nie dopuszczał nigdy walki, nie przeszkadzając jednak nigdy dobrowolnym hołdom. — Wreszcie donosi sławny badacz przyrody A. E. Brehon, że lwica jego „Bachida", która lubiła straszyć wszystkie zwierzęta na dziedzińcu, zaczepiła raz także olbrzymiego bociana, Marabu, ale ten podzióbał ją porządnie. A gdy i drugi i trzeci napad wypadł równie niepomyślnie dla niej, uciekła przestraszona królowa puszczy, ścigana po całem podwórzu przez zajadłego bociana, i musiała w końcu wydrapać się aż na dach jednego z budynków gospodarskich, ażeby się uwolnić od tej straszliwej pogoni. Od tego czasu ustępowała lwica zawsze z drogi bocianowi.

[Statystyka wypadków morskich], ogłoszona świeżo w dziennikach angielskich, wykazuje, że okręt „Vile de Havre", który niedawno w drodze z Ameryki do Europy skutkiem uderzenia o inny statek zatonął, był z kolei czternastym wielkim parowcem atlantyckim w liczbie tych, jakie od roku 1840 poszły na dno z całą prawie osadą swoją. Pierwszy doznał tego losu parowiec „Governer Fenner", w r. 1841 wyprawiony z Liwerpolu do Nowego Jorku; rozbił się on w pobliżu Holybead i zatonął wraz z 122 osobami, dnia 19. lutego t. r. W miesiąc poźniej tak samo skończył okręt „Praesident". W roku 1848 wielki parowiec „Ocean Monarch" na wysokości Greal Ormes Head, w kilka godzin po opuszczeniu portu liwerpolskiego, zgorzał na morzu, przyczem 178 ludzi zginęło. W dzień wilii Bożego Narodzenia r. 1852 zgorzał na czystem morzu parowiec „St. George", w drodze z Liwerpolu do Nowego Jorku; zginęło 50 osób. Hamburgski „George Hanning" w dzień Nowego Roku 1855 zatonął z osadą liczącą 96 głów. Parowiec „Pacific", pierwszy, który przebiegł Ocean

atlantycki w czasie krótszym niż 10 dni, w roku 1856, rozbiwszy się prawdopodobnie o krę morską, zatonął wraz z 186 ludźmi. We dwa lata poźniej 13. września 1858 na pełnym Oceanie zgorzał parowiec „Austrya" z całą osadą liczącą 471 osób, parowiec zaś „Indian" w rok poźniej zatonął z 27 ludźmi; „Hungarian" w roku 1860 w pobliżu Nowej Szkocyi zatonął z 205 osobami; „Anglo-Saxon" w roku 1863 z 240 ludźmi; „City of Boston" w roku 1870 z kilkuset podróżnymi, po których nawet śladu nie zostało. W zeszłym roku rozbił się parowiec „Germania", przyczem 24 osób padło ofiarą. Przy zetknięciu się w roku bież. na wiosnę parowca „Northfleet" zginęło 350 podróżnych, a wreszcie z parowcem „Atlantic" dnia 1 kwietnia b. r. utonęło 560 osób. Morze więc podobnie jak ląd jest ogromnym cmentarzem; na każdej prawie części dna jego znajdzie cząstki ludzkie.

[Cmentarz rzymski.]. W starem mieście Yorku, które przynajmniej przez dwa wieki było siedzibą rzymskiej władzy i cywilizacji na wyspach brytańskich, odkopano przed kilku miesięcami wielki i ciekawy cmentarz rzymski. Od tego czasu wydobyto już ztamtąd rozmaite szacowne zabytki starożytności. Ze wszystkiego wnosić wypada, że był to cmentarz przeznaczony dla klas uboższych, i że niektóre części jego należały wyłącznie do pewnych rodzin. W jednym oddziale znajdują się groby samych niewolników. Na jednej trumnie znajduje się napis, mówiący o dekuryonie kolonii Eboracum (York), z czego się okazuje, że ta kolonia miała prawo municypalne. W kilku grobach znaleziono piękne rzeźby, ozdoby z bronzu, monety, połamane statuetki, kołyskę i wiele innych rzeczy. Z pomiędzy relikwij załugują na wzmiankę tylko dwie: czaszka młodej kobiety ze złotą szczęką, co dowodzi, że dentyści już wtedy byli bardzo zręczni, i kościana tabliczka z zagadkowym napisem „Domine victor vincas felix."

[Człowiek z tekturową głową.] Niedawno umarł w Paryżu niejaki Juliusz Marasquet, który za życia dziwnego rodzaju prowadził rzemiosło. Urodzony z zamożnych rodziców, Marasquet przez pewien czas uczęszczał do szkoły prawa, ale kawiarniane i ogrodowe życie zbyt wielki na niego pociąg wywierało. Stracił znaczną część majatku na hulankę, karty reszty dokonały. Marasquet znikł nagle, i znajomi uważali go za zmarłego, żadnej bowiem wieści nie było o nim. Tymczasem żył on i nawet wynalazł sobie zarobek, który starczył mu przynamniej na chleb codzienny. Przechodząc raz pod sklepem krawca, Marasquet spostrzegł w oknie manekina naturalnej postaci, przywdzianego w raglan naświeższej mody. Widok tego manekina napędził mu do głowy projekt, który natychmiast wprowadził w wykonanie. Wszedł więc do sklepu i zrobił z krawcem ugodę. Nazajutrz przed sklepem gromadził się wielki tłum ludzi, w oknie bowiem wystawiony był manekin, przywdziany w najmodniejsze ubranie, ale nie sztywny tak jak zwykle bywa, tylko takim doskonałym opatrzony mechanizmem, że nogi i ręce przybierały położenie najdoskonalej nadające się do lepszego uwydatnienia kroju krawieckiego. I można by było przysiądz, że to nie manekin, tylko człowiek, tak wybornie lalka naturę oddawała, gdyby nie ogromna głowa tekturowa z emaliowanemi oczami, na której artysta szyldowy wymalował zawiesiste wąsy a la Victor Emanuel. Był to Marasquet, który aż do śmierci pełnił obowiązek szyldowego manekina i stał się dla swojego pryncypała źródłem wielkiej fortuny.

[Nie pierwszy marszałek Francyi] skazany został na śmierć w osobie Bazaina. Tego samego losu doznali: Gilles de Laval, zwany „rycerzem sinobrodym" w r. 1440 za rozmaite nadużycia; Louis de Luxemburg, hrabia Saint Pol w r. 1475 za spiskowanie i rokosz przeciw Karolowi VII i Ludwikowi XI; Charles de Gontant, książę Biron, w r. 1600 za takąż samę zbrodnię jak poprzedni; Henryk książę Montmorency za rokosz w r. 1632; de Marrilac, za domniemaną intrygę przeciw Richelieu'mu w r. 1632; Baron Luckner, marszałek konwentu, za to, że z powodu zdolności swych i waleczności wydał się niebezpiecznym rewolucyi w r. 1794; Filip de Noailles, książę Mouchy, gubernator Wersalu, skazany został przez trybunał rewolucyjny w r. 1794, a w końcu marszałek Ney, za domniemaną zdradę skazany w r. 1815. Na wszystkich też wymienionych wykonano wyrok śmierci.

[Grobowiec Petrarki], wielkiego piewcy miłości, otwierano niedawno w Aqua w Lombardyi, miejscu jego wiecznego spoczynku. Komisya lekarska otworzyła sarkofag, w którym złożone były zwłoki poety, i znalazła kości rozłożone nie w trumnie, ale na samejże płycie kamiennej sarkofagu, i zbutwiałe szczątki szat. Czaszka średniej wielkości, z rozwiniętą niezwyczajnie kością czołową, dochowała się dość dobrze; w szczękach trzymały się jeszcze prawie wszystkie zęby, lecz inne kości okazały się już nadpsutemi. Zbadawszy dokładnie czaszkę pod względem frenologicznym, komisya spisała protokół oględzin i złożyła takowy w zapieczętowanej flaszce przy kościach, poczem zawarła znów wieko sarkafagu. Komisya ta wydelegowaną była z ramienia akademii Bolońskiej i składała się z świadków z Padwy, Este, Monfelice i innych miejscowości.

[Mistyczne oczy]. Siła magnetyczna nie jest wcale wynalazkiem nowszych czasów. Że laseczka magnesowa przyciąga żelazo, że osadzona wolno na swoim punkcie ciężkości zwraca się jednym końcem ku północy, a drugim ku południowi, o tem wiedziały już najstarsze ludy, Egipcyanie i Chińczycy. J. Bahslinger donosi: Pomiędzy rozmaitemi relikwiami, jakie się przechowały po starożytnych Egipcyanach, znane były oddawna już *oczy mistyczne* jako święty przedmiot wiary, jako symbol wszystko widzącego i wszystko słyszącego bóstwa. Sporządzali je, jak się zdaje, kapłani egipscy, a umieszczone w tych amuletach oko, jakkolwiekbądź obrócone, ciągle wskazywało cudownie i tajemniczo na wschód, przypominając prawowiernemu wyznawcy kierunek raju. To, co wówczas niejednego dziwną przejmowało grozą, da się dziś łatwo wytłumaczyć. Te amulety były sporządzane z materyi żelazistej i posiadały siłę magnetyczną. Zawieszone wolno w położeniu ruchomem, a zatem wystawione na wpływ magnetyzmu ziemnego, zwracały one swoje bieguny ku północy i południowi, a oko umieszczone było po tej stronie, która przytem na wschód wypadała. Kilka ócz takich znajduje się w muzeach niemieckich. Pomiędzy trzynastu oczami, które w swoim czasie rozbierał Duteil, dyrektor egipskiego muzeum w Luwrze, posiadało jeszcze pięć siłę magnetyczną. Zawieszony ruchomie na jedwabnej nitce, obraca się kąt mistycznego oka ku północy, a kierunek linii magnetycznej jest zawsze stały i pewny.

[Zamek Chillon na jeziorze genewskiem]. Przecudne wybrzeże jeziora genewskiego między Vevey i Villeneuve nazwano słusznie Niceą szwajcarską. Środek jej stanowią owe liczne, małe wioski, które noszą ogólną nazwę Montreux. Klimat tamtejszy ma być bardzo zbawiennym na choroby piersiowe, i wielu też suchotników zjeżdża tam na zimę. Ale nierównie więcej jeszcze ściąga piękność tej okolicy gości szukających rozrywki, którzy radziby zamienić na jakiś czas gwar stolic europejskich i amerykańskich na roskosze idyliczne nad jeziorem genewskiem. Jedną z najspokojniejszych jest wioska Veytaux, i tam też najmniej zaglądają cudzoziemcy. A przecież może tam ciekawość ludzka znaleźć przedmiot wcale godny widzenia. Tuż w pobliżu tej wioski wznoszą się na stromej skale, przeglądające się w jeziorze wieże i szczyty starożytnego zamku Chillon; dalej przedstawia się w ramach skalistych malownicza zatoka wschodnia jeziora, a poza nią rozciąga się ponura dolina Rodanu aż do podnóża alp walijskich.

Zamek Chillon stał się głośnym w świecie dla straszliwych swych więzień. Jest ich trzy, olbrzymie sklepione lochy, których sufit opiera się na niezgrabnych kolumnach. W dwóch ciemnych grotach odbywały się prawdopodobnie tracenia skazanych na śmierć więźniów. Z trzeciego więzienia wiodły schody do sali sądowej. Gdy się chciano na zawsze pozbyć jakiego więźnia, otwierały się spadające drzwi w podłodze, i nieszczęśliwy znikał bez śladu w głębi jeziora; fale zamknęły się nad nim, i nie słyszano już o nim więcej. Zresztą znajdowały się te osławione więzienia ośm stóp nad powierzchnią jeziora, nie zaś, jak często opowiadano, pod wodą.

O zamku Chillon wspominano już w dziewiątym wieku. Obwarował go Piotr ze Sabaudyi w r. 1248. W r. 1536 oblęgali go i zdobyli Berneńczycy, przyczem sławny patryota, Franciszek Bonivard, odzyskał wolność po sześcioletniem więzieniu. Jeszcze dziś pokazują w jednej z piwnic słup, do którego był przykuty, i kółko, do którego przyczepione były jego kajdany. Byłto najsławniejszy z więźniów, których męczono w lochach zamku Chillon. Byron napisał o tym męczenniku pomemat pod tytułem: „Prisoner of Chillon, i to — jak wiadomo — w ciągu jednego dnia, który musiał przepędzić w Luizianie dla gwałtownej burzy.

Po Bonivardzie oglądał ten zamek niejednego jeszcze więźnia.

[Wyspa Ste Marguerite], na której Bazaine zastanawiać się ma nad niestałością fortuny, która się tyle lat doń uśmiechała, jest poprostu długą skałą, naprzeciwko Cannes, oddzieloną od tego miasta cieśninką morską ledwo 800° szeroką. Skała ta i druga równoległa St. Honorat są największe między tak zwanemi wyspami leryńskiemi (insulæ lerinæ), które nazwę swoję wzięły od pewnego bohatera mitologicznego, Lero, o którym Pliniusz pisze, że miał na Ŝtej Małgorzacie swoję świątynię. Miało tu nawet być miasto Vergoanum, które prawdopodobnie morze zabrało. Leryńskie wyspy wraz z całem wybrzeżem przeciwległem bywały z kolei w rękach Greków, Rzymian, Turków, Włochów, Niemców, i Francuzów, aż kardynał Richelieu za czasów Ludwika XIII. Ste Marguerite zajął i ufortyfikować kazał. W bardzo nieznacznym, na północnej tronie wybudowanym, przez sławnego Vaubana poźniej ulepszonym forcie więziono różnemi czasy różnych ludzi, mianowicie od roku 1686 przez 12 prawie lat owego zagadkowego l'home au masque de fer, o którym podobnoś nigdy z pewnością wiadomem nie będzie, kim był. Zdaje się, że Bazaine zajmować będzie tę samą część fortu, w której siedział le masque de fer; może mu się uda odkryć w tych komnatach jaką wskazówkę, którąby zaprowadziła do rozwiązania téj zagadki żelaznej. A może gdziebądź na téj wyspie jaki ślad się znajdzie, wiadomo albowiem, że le masque de fer nie śmiał tylko maski się pozbywać, starał się zaś innemi sposoby wiadomości o sobie udzielić, np. przez ów oknem wyrzucony srebny talerz, na którym wypisał coś nożem, przez ową popisaną cieniutką koszulę i t. p., których znalazcy niezwłocznie zamordowani zostali.

[Krowie drzewo w Ameryce południowej]. Palo de Vaca, czyli krowie drzewo, jeden z cudów przyrody, otrzymał swoję nazwę od białego, mlecznego płynu, który obficie w sobie zawiera. Za przewierceniem pnia wytryska ten płyn, i krajowcy ściągają go za pomocą rurek bambusowych do używanych tam butelek z melonów lub arbuzów. Smakiem równa się ten płyn krowiemu mleku, ale jest tłuściejszy, i wartość jego w tych okolicach ubogich w wodę jest nieoceniona. Zresztą i kora tego drzewa dostarcza krajowcom zdrowego pożywienia; mielą oni ją lub tłuką na mąkę i sporządzają z tego ciasto, które wysuszone pomiędzy gorącemi kamianiami daje chleb równie smaczny, jak nasz chleb żytni.

[Czokolada]. „Indyk, ananas i czokolada — powiada pewien sławny smakosz — są to trzy rzeczy, za które jedzący człowiek powinien być zaprawdę wdzięcznym odkrywcy Ameryki.“ Hiszpanie sprowadzili czokoladę z Mexyku do Europy, i przez długi czas była hiszpańska czokolada najsławniejszą. Dziś istnieją już i w innych krajach znakomite fabryki tego artykułu, ale smakosze przyznają zawsze jeszcze pierszeństwo czokoladzie hiszpańskiej, jedynej w swoim rodzaju. Nie jest ona słodka, ani gorzka, ani zanadto korzenna, słowem jest niezrównana, jedyna, wyborna. Czokolada jest równie przyjemnym, jak zdrowym i łatwym do strawienia napojem, a nawet podniecа trawienie, o czem można się przekonać, wypiwszy po obfitem śniadaniu lub wieczerzy filiżankę czokolady. Ludziom, którzy muszą długo w noc pracować, hipokondrykom i cierpiącym na hemoroidy, można śmiało zalecać używanie czokolady. Nie powinna ona jednak być bardzo stara, im starsza bowiem, tem mniej przyjemna. Czokolada, sprzedawana za tanie pieniądze tak w tabliczkach jak i w proszku, jest zawsze mocno zaprawiona mąką z ziemniaków, ryżu, owsa, pszenicy, bobu, grochu, soczewicy, wyki i jęczmienia, a przeto jest fałszowana i niedobra. Po domach gotują czokoladę zwykle z mlekiem i żółtkami, ale kto chce pić prawdziwą czokoladę, niechaj weźmie 3 łuty na zwyczajną filiżankę i gotuje zwolna przez kwandrans w czystej wodzie, mieszając ciągle drewnianą łyżeczką, a będzie mieć wyborny napój. „Jeźli chcesz pani pić dobrą czokoladę — mówiła pewnego razu przełożona jednego z klasztorów żeńskich w Paryżu — to każ ją dniem przedtem ugotować w garnuszku porcelanowym i zostawić do drugiego dnia.“ I istotnie jest to bardzo dobry sposób przyrządzania czokolady, przez noc bowiem wystoi się ona, zmięknieje i nabierze delikatnego smaku.

[Żeński Harpagon.] W ostatnich dniach zmarła w Paryżu niejaka pani Gatgier, właścicielka znacznej fortuny, a zmarła literalnie z głodu. W r. 1870 straciła wiele podczas wojny pruskiej i odtąd fantazować poczęła, że tak jest ubogą, iż musi się bardzo ograniczać, pomimo że dość znaczny jeszcze uratowała majątek. Przeniosła się więc z Paryża, gdzie dawniej utrzymywała dom wystawny, do Thionville, i tam żyła w zupełnem zaniedbaniu do tego stopnia, że odmawiała sobie nawet świeżej bielizny. W końcu zaniedbywać poczęła i swój żołądek, i kiedy zachorowała, wzbraniała się przyjąć lekarza, ażeby nie mieć wydatku na aptekę, i wkrótce uległa nędzy. Po śmierci jej znaleziono pod poduszką 10000 fr. w złocie, oraz wiele listów bankowych i obligacyj.

[Zemsta małpy.]. Jeden z zwiedzających ostatniemi dniami ogród zoologiczny w Kolonii został dotkliwie ukarany za złośliwe drażnienie małpy. Podawał on jej przez kraty klatki jabłka, a kiedy zwierzę sięgało już po nie łapką, uderzał je laską. Podrażniona małpa już nawet przestała wyciągać łapę ku złośliwemu jegomości, ale usunęła się w kąt i widocznie czyhała tylko na chwilę zemsty. Wkrótce nadeszła ta chwila; jegomość nasz zbliżył się zanadto do klatki, a małpa wtedy jednym susem podskoczyła ku niemu, i wysunąwszy długą kosmatą swą rękę po za kraty, chwyciła go silnie za ramię, a jednocześnie drugą okładać go poczęła po kapeluszu tak, że mu go wbiła aż na ramiona. Ledwie głos i laska dozorcy zdołały uwolnić ofiarę z rąk rozjątrzonego zwierza.

[Król rulety.] Z Monaco donoszą o niepospolitem zjawisku na horyzoncie rulety. Bawi tam od dłuższego już czasu tajemniczy jegomość, każący nazywać siebie panem Bugeją, przezwany jednak dla rycerskiego w starym stylu zachowania się „Maltańczykiem". Dzień w dzień z dziwnym spokojem i zimną krwią zasiada „Maltańczyk" do zielonego stolika, i dzień w dzień zgrywa bank niemiłosiernie. Wielkie swe szczęście jednak obraca zupełnie na pożytek bliźnich, wydaje bowiem rocznie przeszło 100.000 franków na utrzymanie rozmaitych zakładów dobroczynnych, nie licząc sum, jakie codziennie rozdaje ubogim. Żyłka hazardu zeszła się w tym człowieku z cnotą dobroczynności, co podobno rzadko się zdarza u ludzi. Nie brak jednak i takich, którzy podejrzywają „Maltańczyka", że jako przyjaciel ludzkości służącem mu szczęściem chce zrujnować bank, zdebankować ruletę.

[„Wenus"], prześliczny ten o tęczowych kolorach planeta, dnia 9. grudnia 1874 podług obliczeń astronomicznych ma się przemknąć po przed tarczę słoneczną, a to samo zjawisko powtórzyć się ma także w r. 1882. Z ludzi żyjących obecnie nikt już po roku 1882. nie zobaczy podobnego zjawiska, przemknięcia się takie bowiem „Wenery" po przed słońce zdarzają się najwięcej sześć razy na tysiąc lat, a zawsze parami po dwa w krótkim odstępie czasu, jak n. p. w ośmioleciu. Wiele minie generacyj, które go wcale nie ujrzą. Korzystając więc z téj sposobności, wszystkie prawie mocarstwa europejskie urządzają wyprawę naukową celem dokładnego zbadania tego zjawiska, z którego dokładną także będzie można oznaczyć cyfrę odległości ziemi od słońca oraz innych planet, a to zapomocą prostej tryangulacyi. Ostatnie zjawiska tego rodzaju obserwowano w latach 1761—1769, badania naukowe jednak nie mogły być przeprowadzone wówczas z należytą ścisłością; ale bądź co bądź, im zawdzięczamy cyfrę odległości ziemi od słońca, przyjętą dotychczas przez astronomów: 20,680 000 mil, której też uczono nas w szkołach. Zdaje się wszakże, iż cyfra ta jest za wysoka. Stacye obserwacyjne na dzień 9. grudnia 1874 urządza Rosya na Syberyi, Anglia w Indyach wschodnich, Niemcy na wyspie Mauritius, na wyspach Ankland i Kerguelen, w Chinach, Persyi, a prawdopodobnie też w Jokahamie, w Japonii, tudzież na wieży astronomicznej w Strasburgu.

[Pomnik dla Dziewicy Orleańskiej] Joanny d'Arc stanąć ma wkrótce w Paryżu przy wejściu z placu de Rivoli w ulicę tegoż nazwiska, a to kosztem publicznym. Rząd francuski powierzył wykonanie dzieła tego rzeźbiarzowi Fremyot. Na miejscu przeznaczonem dla tego pomnika, jak podanie głosi, miała Dziewica Orleańska d. 8. września 1429 wykonać energiczny lubo daremny szturm na obsadzone podówczas przez Anglików okopy paryskie.

[Amator samobójstwa.] Dzienniki wiedeńskie opowiadają, że jeden z służby kolei centralnej w Opawie z niewiadomych powodów chciał w ostatnich dniach odebrać sobie życie wystrzałem z pistoletu, ale w czas spostrzeżony przez kolegów, został rozbrojony i wepchnięty przemocą do próżnego wozu odchodzącego właśnie pociągu, aby wrócił do domu. Gdy pociąg stanął, spostrzeżono, że nasz ochotnik samobójstwa w drodze musiał wyskoczyć z wozu. Znaleziono go w rzeczy samej na linii, ale bez szwanku, jakoś szczęśliwie bowiem wyskoczył. Zaniesiony do domu przyznał się, że już po wyskoczeniu z wagonu zażył fosforu z główek zapałkowych, ażeby tym sposobem odebrać sobie życie, które znienawidził. Prędka pomoc lekarska usunęła także niebezpieczeństwo otrucia, a teraz leczą biédaka w szpitalu z manii samobójczej.

[Fraszki] Sławna spiewaczka, Paulina Lucca, i drugi jej małżonek rozmawiali raz przed ślubem bardzo czule, gdy wtem artystka przypomniawszy sobie, że jej narzeczony jest już wdowcem, poczuła w sercu pewien rodzaj zazdrości i ozwała się przeto do przyszłego małżonka: „Ale powiedz mi, mój drogi, czy nigdy grób pierwszej żony twojej nie stanie między mną i tobą?" — „Dajmy temu pokój — odrzekł szybko kochający małżonek; — za ten jeden grób z mojej strony mogłabyś ty, najdroższa Paulino, odpłacić mi się snadnie całym cmentarzem!"

Pułkownik szwajcarski, Lochman, łączył z rzadką walecznością także nadzwyczajną roztropnność i zimną krew. Pewnego dnia towarzyszył Ludwikowi XIV. na łowy. Król rzekł do niego: „Pułkowniku, wiem, że nie cofnąłeś się nigdy przed nieprzyjacielem, ale wątpię, czy dotrzymasz placu odyńcowi." Pułkownik zgodził się na próbę. Wyznaczono mu więc stanowisko przy opuszczonej kaplicy u krawędzi lasu, i rozkazano oraz strzelcom, ażeby pierwszego odyńca, którego psy ruszą, pędzono ku tej stronie. Tak się też stało. Wkrótce potem nadjechał król galopem. „No i cóż pułkowniku — zapytał — widziałeś odyńca?" — „Tak jest Najjaśniejszy Panie." — „A gdzież się podział?" — „Zamknąłem go na tak długo, nim Wasza król. Mość przybędzie, do stajni." — Istotnie znajdował się dzik w kaplicy. Lochman bowiem stał właśnie oparty o drzwi kaplicy, gdy spostrzegł, że odyniec, ryjąc ziemię kłami,

pędzi wprost na niego. Wtedy otworzył drzwi kaplicy, usunął się nieco nabok, i wpuściwszy zwierzę do kaplicy, zamknął drzwi potem. Figiel ten ubawił niezmiernie króla i jego świtę.

Na dowód, z jaką łatwością zawierane bywają małżeństwa w Ameryce, może posłużyć następujący wypadek: Niedawno przybył zrana do domu zamożnego obywatela w Atlancie, imieniem Gat, jakiś młody człowiek, i chciał się widzieć z swoją żoną. — „Pan pomyliłeś się zapewne co do pomieszkania — rzekła gospodyni domu — tu nie ma żony pańskiej, i nikt tu nie mieszka, prócz członków mojej rodziny.“ — „Właśnie z jednym z tych członków pragnę się rozmówić, gdyż wczorajszego wieczora zaślubiłem najstarszą córkę pani.“ — Można sobie wyobrazić, jakie musiało być zadziwienie matki.

Statua św. Michała we Lwowie.

Do skromnych niestety i wcale nie licznych ozdób artystycznych miasta Lwowa, przybyła w ostatnich czasach statua św. Michała Archanioła, patrona Galicyi, której wierną kopią podajemy w załączonym drzeworycie. Jestto zabytek dość stary, bo jeszcze z owych czasów, kiedy kraj nasz, stanowiąc integralną część Rzeczypospolitej Polskiej, dzielił wiernie losy, jakie narodowi zakreślała Opatrzność w dziejach ludzkości. Jak świadczą bowiem kroniki naszego miasta, została ta statua w r. 1643, za panowania *Władysława IV.*, kosztem Rzeczypospolitej, a za staraniem jenerała artyleryi, *Pawła Grodzickiego*, z bronzu ulana i na zabudowaniu dawnego arsenału miejskiego ustawiona, gdzie przeszło dwa wieki przetrwała wszystkie burze wojenne i nieszczęścia miasta. Dopiero w zeszłym roku zwrócono na nią uwagę i postanowiono ocalić ją od zupełnego zniszczenia, jakie jej zagrażało. Zajęła się też tą sprawą Rada miasta Lwowa, i dzisiaj statua ta, odnowiona kosztem gminy, zdobi jeden z głównych placów miasta u wstępu na takzwane Wały hetmańskie. Sam posąg św. Michała jest dość udatnie ulany z bronzu, ale defigurują go nieco dodane przez restauratora akcesorye, a zresztą i umieszczenie statuy w rodzaju niszy kamiennej nie przyczynia się wcale do uwydatnienia jej artystycznej wartości. ORSZA.

Nowe książki.

Klemens Kantecki. „Elżbieta, trzecia żona Jagiełły.“ Opowiadanie historyczne. Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1874.

Niewątpliwie jednem z najpiękniejszych zadań historyka jest przywracać spotwarzonym lub zapoznanym postaciom dziejowym cześć ich, albo nieprzyznane przez współczesnych, a znakomite zasługi. Tu historyk staje się narzędziem owej Sprawiedliwości dziejowej, która jest nad ludźmi i czasami; prędzej lub poźniej wypowiada słuszny wyrok i stanowi nadzieję uciśnionych a grozę dla najpotężniejszych złoczyńców. Często drobny wypadek, niespodziane odkrycie taką rehabilitacyą w dziejach sprowadza; lecz częściej daleko musi pionier-historyk z trudem olbrzymim, po niteczce rozplątywać sieć oszczerstw, lub po kamyczku gruz zapomnienia odwalać... Do takiej pracy wielkiej miłości potrzeba.

Takie to zadanie i trud miał p. Kantecki w niniejszej monografii, której bohaterka tak wiele praw do rehabilitacyi i współczucia posiada...

Elżbieta Pilecka, z pierwszych ślubów Granowska, z poddanki na tron miłością królewską wyniesiona; podobna w tem do Barbary i pod wielu innymi względami jednakie z nią miała losy...

Zgładzona ze świata, wprawdzie nie włoską trucizną, ale stokroć straszliwszym od niej jadem nienawiści i potwarzy, — w śmierci nawet przed zajadłością wrogów swoich ucieczki nie znalazła.

Na świeży grób jej upadł obelżywy paszkwil Ciołka, a urzędowy historyk najpotężniejszego z jej wrogów — Zbigniewa Oleśnickiego — Długosz, kłamliwemi i szkaradnemi o niej wieściami na długo podał ją potomnym wiekom w ohydę.

Za Długoszem bowiem czerpiący z niego i parafrazujący go poźniejsi kronikarze, ba nawet najnowsi badacze swoi i obcy, jeśli nie rzucili na nią jednym kamieniem więcej, to przynajmniej w całej rozciągłości przyjmowali i uświęcali haniebną o niej pamięć...

Za długo byłoby opowiadać tutaj, jaka się przez to o pomstę wołająca krzywda tej szlachetnej niewieście działa; — ciekawy czytelnik, jeśli zajrzeć zechce do powyższej monografii, znajdzie tam jej proces, wytoczony nanowo przed sąd historyi, pełen wzruszających przejść, w którym p. Kantecki, — równie wymowny jak gruntowny obrońca Elżbiety — odniósł wreszcie nad cztero-wiekową potwarzą stanowcze zwycięstwo.

Zwycięstwo to zaś jest tem bardziej dla pamięci i stanowiska Elżbiety znaczące, ponieważ gruntowność wywodów p. Kanteckiego przekona specyalnych badaczy, a lekka i powabna forma jego opowieści istotne i piękne tej królowej dzieje pomiędzy ogółem rozpowszechni.

Fryderyk Szopen i utwory jego muzyczne, przyczynek do życiorysu i oceny kompozycyj artysty, napisał M. A. Szulc. Poznań. U Żupańskiego. 1873.

Jestże popularniejsze imię u nas nad imię postawione na tytule tej pracy? Ileż chwil niezapomnianych i czarownych dał każdemu z nas ten kapryśny geniusz, bliźni wszystkiemi strunami swej duszy ze Słowackim; równie chory i równie sympatyczny; — podobny do tych kwiatów tropikalnych, których woń jest trucizną zarazem. Urok jednakże utworów jego zapominać każe o tej strunie ujemnej i boleśnej, dźwięczącej w nich bez ustanku, którą zresztą życie jego aż do zbytku wyjaśnia i tłumaczy, — a najpotężniejsza zasługa: cecha narodowa, polska jego muzyki — prawo do wieczystej czci i wdzięczności naszej mu nadaje. Gdzieindziej geniusz takiego znaczenia dla narodu, byłby się doczekał stu monografij, rozbiorów, ocen jako artysta i jako człowiek. U nas zaledwo w pełni podziękować możemy Sikorskiemu, Kleczyńskiemu, Karasowskiemu i autorowi obecnej pracy. Jednakże nawet monografie powyżej wymienione, pominąwszy to, że nie są specyalnie biografii, albo genezie i ocenie utworów Chopina poświęcone, ale na małej przestrzeni tem i owém się zajmują, są do tego jeszcze przy najlepszych chęciach zawsze niedokładne, a mianowicie: część muzyczna pełniejsza w nich daleko od biograficznej.

Wynikało to dotąd przedewszystkiem z braku najcenniejszych materyałów, jakiemi są listy Chopina, które przy smutnej pamięci rabunku pałacu Zamojskich w Warszawie w 1863 wraz z innemi rzeczami siostry jego p. Barcińskiej zniszczone zostały. Dalej zaś z niepojętej niechęci czy lenistwa osób posiadających po Chopinie korespondencye lub pamiątki znaczące, o które i przy obecnej pracy p. M. A. Szulc wzywał najczęściej napróżno.

Pomimo tych braków i trudności praca p. Szulca, prowadzona z miłością i staraniem, jest bardzo cennym przyczynkiem do dotychczas zebranych materyałów. Zawiera ona bowiem wyjątki z nieprzekładanych dotąd obcych ocen i wiadomości o Chopinie, mianowicie z broszury Liszta *), listów Mendelsohna, Liszta i Mayerbeera, z pamiętników pani Sand i znanego jej dzieła „Un' hiver à Majorque" — szczególniej zaś cztery listy, z których jeden w autografie, i autograf muzyczny Szopina przy końcu dzieła. Do tych materyałów doliczyć także potrzeba zebrane przy końcu dzieła poezye z Chopinem lub utworami jego stosunek mające — a mianowicie znaną Fantazyą Włodzimierza Wolskiego i cudowne ilustracye Ujejskiego do muzyki zgasłego mistrza.

Co się tyczy samoistnej części tej pracy, należy oddać zupełną sprawiedliwość specyalnej gruntowności autora w rozbiorze utworów Chopina, — oraz układowi i powabnej formie tej książki. Powinna ona znaleść się w rękach każdej wielbicielki Chopina, szczególnie jako klucz do pojęcia i wykonania tak powszechnie ukochanych jego kompozycyj.

Bronisław Komorowski, „Krok," ostatni Arkony książę. Tragedya w 5. aktach. Biblioteka narodowa. Nakład F. H. Richtera.

Szczupłe ramy naszego działu i skromne stanowisko sprawozdawcy nie pozwalają nam rozszerzyć się nad utworem tym, jak na to zasługuje.

Wolno nam jednakże na wstępie tego krótkiego rzutu powiedzieć, że — z pośród natłoku zdawkowych i błahych treścią utworów bieżącego czasu — Krok powieje na czytelnika jakby oddechem świeżego i krzepiącego powietrza. Potęga poetyckiego talentu widnieje tu na każdej karcie, a plan i prowadzenie scen wyrobionego dramaturga znaczą. Nigdzie stereotypowych postaci, — owszem charaktery żywe i rysowane mistrzowsko, a z nich jeszcze wyróżnia się głębią i wydatnością pierwszy w dramacie polskim iście sławiański typ: dobroduszności, prostoty i uczucia — bohater tragedyi — Krok, książę Arkony.

Słówko jeszcze o formie. Jest to wiersz rymowy, ale nagięty z rzadką umiejętnością i siłą do dyalogu; — szorstki, chropowaty nawet chwilami — wyrazistą cechę oryginalności nosi na sobie.

Zanim scena poznajomi publiczność z tem dziełem — co wkrótce ma nastąpić — powinno ono już być w rękach ogółu jako zaszczyt każdej biblioteki.

Pamiętniki z ośmnastego wieku. Tom XIV Radom i Bar 1767 — 1768. Dziennik wojennych działań jen. maj. Piotra Kreczetnikowa, z rosyjskiego oryginału przełożył P. K. Stolnikowicz Chełmski. Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego. 1874.

Już drugie to dzieło w szeregu tych pamiętników przełożone z rosyjskiego, pierwszem były niedawno na tem miejscu wspomniane pamiętniki Engelhardta. Niezmiernie szczęśliwy i pożyteczny to pomysł przyswajania podobnych źródeł literaturze naszej historycznej. Są to akta tajne gospodarstwa moskiewskiego w naszym kraju, któreby zapewne świata nigdy nie były ujrzały, gdyby nie wyjątkowe stosunki w prasie rosyjskiej przed ostatniem naszem powstaniem, w którym to czasie i ten dziennik wyszedł na widok publiczny.

Rzuca on jaskrwawe światło na dwie przyrodnie siostry naszej polityki w 1767 — 1768, na konfederacyą Radomską i Barską. Odsłania tajemne sprężyny dyplomatycznych działań Repnina i charakteryzuje ostremi rysami niesłychane gwałty żołdactwa obcego, rzuconego na kraj nasz, pod pozorem liberalizmu i sprawiedliwości. Listy i instrukcye Repnina, dawane Kreczetnikowi, dopełniają obrzydliwości tego obrazu, do którego zgrozy niestety przyczynia się w znacznej części haniebny udział w nim najpiękniejszych imion polskich.

Dziennik ten, napisany stylem raportu, niekiedy z brutalnem samochwalstwem żołdaka, ciągnie się przez rok cały i na ostatnich kartkach odsłania jeszcze krwawe oblicze Koliszczyzny.

Ciekawym rysem w nim, jest raportowanie liczby rannych Rosyan w stosunku do naszych; zupełnie jak w ostatniem powstaniu proporcya 1.: 100. Znać dawny to systemat!

Zresztą całość tego dziennika niesłychanie psuje krew: taką bezczelnością i zaślepieniem oddycha!

Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza. Dziennik drugiej podróży do Ameryki 1804 — 1807. Lwów. Nakładem K. Wilda. 1873.

*) Już po napisaniu tej wzmianki dowiadujemy się, że p. Faleński (Felicyan) dokonał świeżo przekładu powyższej broszury. Prz. aut.

Dziennik ten, uważany przez samego Niemcewicza za stracony, i streszczony przez niego w „Pamiętnikach czasów swoich“, szczęśliwym wypadkiem odnalazł się w ostatnich czasach, w kopii, w Warszawie.

Opowiada on szeroko o lądowej i morskiej podróży do Ameryki, gdzie na poetę naszego oczekiwała nowa jego ojczyzna, żona i rodzina. Zawiera liczne poglądy na owczesny stan Francyi polityczny i społeczny, opis zbiorów, galeryj i arcydzieł spotykanych po drodze, mnóstwo ciekawych spostrzeżeń, nieraz niezmiernie rubasznym opowiedzianych sposobem, szczegóły z życia w Ameryce i rodzinnych stosunków autora — niezbyt fortunnych zresztą — a kończy się z wiosną r. 1807. Na wiadomość o bitwie pod Jena i nowych nadziejach dla Polski, Niemcewicz mimo poźnego już wieku, odradzania żony i przyjaciół spieszy do kraju i na wrażeniach tej podróży dziennik niniejszy urywa. Znane przymioty „Pamiętnika czasów swoich“, szczerość, prostota i żywość opowiadania połączone z bystrym poglądem, oraz staropolski w dziwnej parze z francuzczyzną krój języka — cechują i ten dziennik.

Wincenty Pol i jego poetyczne utwory przez Lucyana Siemieńskiego. Liryki, Gawędy, Dramat. w Krakowie, w drukarni L. Paszkowskiego. Nakładem J. M. Himmelblaua. 1873.

Ktośby mógł sądzić, że znajdzie pod tym tytułem obszerną monografią życia i działalności genialnego poety: tak nie jest bynajmniej. Książka ta to tylko wiązka wybranych, zresztą umiejętnie bardzo, mniejszych poezyj W. Pola i fragmentów z większych, którą poprzedza krótki szkic biograficzny i krytyczny, a raczej panegiryczny. Jakkolwiek bądź jest, zbiór ten ułatwia rozpatrzenie się w charakterze twórczości Wincentego Pola i najpiękniejsze, z rozsianych przez niego obficie kwiatów, podaje. Piękny podarek noworoczny!

Przeor Paulinów, dramat historyczny z XVIII. wieku. Napisał Julian Mörs z Poradowa. Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Szmidta. 1874.

Nie jest to dramat, ale poemat dramatyczny. I pogląd na niego z tego stanowiska pozwala jedynie dobrze go pojąć i sprawiedliwie ocenić. Wówczas liczne wady jego, jako dramatu, w znacznej części nikną, lub nawet zamieniają się na piękności pierwszego rzędu. Liryczność ogólnie w nim rozlana i aureola legendarna osłaniająca go, dla dramatu szkodliwe — urok poematu mocno powiększają.

Jednakże i poematowi dramatycznemu, mimo wysokich jego zalet, sumienie pewne zarzuty postawić każe. Kardynalnym pomiędzy niemi jest wysunięcie zbyteczne na pierwszy plan „Częstochowy“ z jej bohaterskiemi przejściami, miasto jest istotnym bohaterem rozwiniętego przed czytelnikiem działania. Wszystkie zaś postacie, nie wyjmując Kordeckiego, ze swojemi uczuciami, namiętnościami i walkami, wyglądają jak stafaże przy krajobrazie. Największą z tych figurek jest niewątpliwie Kordecki, ale uwaga czytelnika nie może się przeważnie i stanowczo do niego przywiązać: co chwila bowiem nowy wyłom, wycieczka, nocna trwoga, miny i cudowny ratunek przeciw nim od wody, — słowem wahanie się tej wielkiej stawki, której na imię Częstochowa pomiędzy graczami — całą duszę czytelnika bierze. W każdej sytuacyi, — gdzie nieraz wzruszające i głęboko dramatyczne uczucia ludzkie w szkicach się kręcą — cieszy, smuci, się drży i lęka uwaga czytelnika tylko o te forteczne mury.

Ztąd motywa tak mocno dramatyczne, jak stosunek Piotra Czarnieckiego i Adolfa Müllera — miłość Hanny i Piotra, niewyzyskane zupełnie; a charaktery drugoplanowe (nawet w intencyi samego autora), ledwo w konturach oznaczone. Jednem słowem tło wyszło zbyt wypukle i pożarło ludzi. Zresztą raz przyjąwszy ten układ wadliwy, przyznać z drugiej strony potrzeba, że w utworze tym nie braknie ani ruchu, ani wzruszających i efektownych przejść; forma zaś odznacza się czystością rysunku i miarą artystyczną, przechodzącą aż nawet chwilami w chłód i surowość. To wszystko powiedzieliśmy z punktu artystycznego, który kosmopolityczny jest, i etykę na drugi plan usuwa.

Jeżeli jednak przyłożymy do tego utworu miarę narodową, jeśli czytać go będziemy ze wspomnieniami danej w nim epoki i odczuwać polskiem sercem; wówczas, — jak blask miesiąca nad sędziwą wieżą, płomień uczuć narodowych, wszystkie piękności jego na wierzch dobędzie, a szczerby i skazy w ciemność zasunie. Ze sceny dramat ten wywołuje silne wrażenie i układem wybornie do niej się nadaje — rozumie się, po odrzuceniu „Prologu“, który może być pierwszym aktem do dramatu „Radziejowski“, ale przy tem dziele jest zbyteczny.

W. O.

Poczta »Strzechy.«

Panu Kostce we Lwowie: Wiersz pod tytułem: „Wiosna“ jest dość słaby, a co gorsza zanadto tchnie materyalizmem; widać w nim jednak talent, który radzimy kształcić, ale w idealniejszym kierunku.

Panu St. S. w Krakowie. Wiersz satyryczny niby: „Hrabiowskie łowy“, jakkolwiek gładki, nie odpowiada swemu celowi, gdyż sam żywioł satyryczny zanadto jest w nim słaby. Może inny utwor będzie udatniejszy.

Panu Zniczowi. Przysłanego wiersza nie możemy umieścić, bo nie ma on wcale nastroju poetycznego i nie odpowiada warunkom artystycznym.

Panu St. A. R. w Krakowie: „Radom i Bar“ już zapisany w naszym stałym bibliograficznym dziale, zaś „Polskę w czasie trzech rozbiorów“ traktujesz pan zbyt ogólnie. Inne notatki, stosowniejsze dla nas, chętnie na przyszłość przyjmiemy.

Panu Iskrze w Krakowie: Wiersz „Nad Jeziorem“ jest treści zanadto drażliwej, by mógł być umieszczony w „Strzesze“. Może masz pan co innego?

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.